№ 9. Warszawa, dnia 3 Marca (20 Lutego) 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

„SILNA RĘKA."

Nietrudną w tym wypadku wróżbą przepowiedzieliśmy wynik dyplomatycznych przedstawień Porcie, uczynionych w sprawie bułgarskiej. Ks. Bismark, wskazując drogę do Sofii przez Konstantynopol, wiedział bardzo dobrze, że tą drogą powóz dyplomatyczny do celu nie dojedzie. Pod Złotym Rogiem bowiem otworzyło się szerokie trzęsawisko, w którem brodzą nury i kaczki, ale żaden strzelec nie przejdzie i nie przepłynie. Znając ten moczar doskonale, kanclerz niemiecki mógł zachęcać do przebrnięcia go i przyrzekać swą pomoc aż do... brzegu. Nie wątpił on ani na chwilę, że ta wyprawa, jak wiele podobnych, będzie daremną stratą czasu. Sultan jest człowiekiem schorzałym, strwożonym, niezdolnym do żadnego energicznego czynu, drżącym jedynie o swe własne bezpieczeństwo i co najwyżej— o zachowanie resztek własności, jakie mu pozostawiono. Jego otoczenie przedstawia gromadę ryb w saku, wymykających się zanurzonym dla schwytania ich rękom i myślących tylko o tem, ażeby ich z wody na ląd nie wydobyto i nie zjedzono. Skarb pusty, wojsko słabe, rozstrój powszechny, a obok tego braku środków i sił — brak celu w przedsięwzięciu takiem, jak wykonanie postanowień traktatu berlińskiego i strącenie Koburga z tronu. Gdyby Turcya miała nadzieję, że utrzyma Bułgaryę w stosunku lenniczym a Rumelię wschodnią— w podwładnym, z pewnością... nie rozpoczęłaby walki, bo wszelkiej się boi, jak ognia; cóż dopiero gdy tej nadziei nie ma, gdy największy wysiłek nie przyniesie jej żadnego zysku a niezawodne straty?

Zbiorowy zatem dyplomatyczny nacisk na Portę nie obiecywał innego skutku, prócz zaręczenia z jej strony, że go weźmie „pod rozwagę," co rzeczywiście uczyniła, rozpocząwszy szereg bezpłodnych i leniwych obrad w pałacu sułtana. Ale dodać trzeba, że ten nacisk nie był zbiorowym. Nikt nie wątpił, że „pewne mocarstwa," uznawszy „w zasadzie" nieprawność wyboru i panowania ks. Ferdynanda, nie zgodzą się na sposób usunięcia go i podniosą łańcuch najrozmaitszych „obaw." Już nas telegraf zawiadomił, że dysydenci się znaleźli, a między nimi przewodzą głównie Austrya i Anglia. Pierwsza wykazuje trudność zastąpienia rządów Koburga jakimś stanem prawnym, który by zapobiegł zawichrzeniom spokoju na półwyspie Bałkańskim; czegoś innego znowu „lękają się" Włochy, tak, że po stronie Rosyi stoją tylko Niemcy i Francya. To spotkanie się Niemiec i Francyi na jednem skrzydle jest bardzo znamiennem dla przebiegu tej sprawy i wykazuje złośliwość ks. Bismarka, zawsze gotowego do „usług idealnych." Właśnie dlatego, że wierzy w idealizm swego „poparcia," tak chętnie je ofiaruje i ujawnia. Gdyby przypuszczał, że z owego idealizmu wysączy się najdrobniejsza kropla realna, nie widzielibyśmy go obok Francyi i między wykonawcami traktatu berlińskiego.

Przyznać trzeba, że Rosya ostatnim wynurzeniem swoim w sprawie bułgarskiej nadała ton pokojowy i umiarkowany. Wszędzie też głos *Praw. Wiestnika* zrozumiany został w tym duchu — nawet wytłomaczony, jako objaw znacznego zniżenia żądań. Mimo to „zbiorowa deklaracya" mocarstw w Konstantynopolu nie zyskała na sile i zgodności. A jak na ten objaw odpowiedziała giełda berlińska? Szaloną zniżką kursu papierów ruskich, która graniczy już prawie z zupełnem wypowiedzeniem im kredytu. Prasa petersburska, zajrzawszy po za czułe słowa na czyny, dostrzegła „silną rękę," przeczącą słodkim ustom. „Niesłychany spadek rubla — piszą *Petersb. Wiedomosti*— jest wypadkiem tem bardziej niepocieszającym, iż niepodobna określić, na czem zatrzyma się dalsza zniżka. W istocie, czyż są jakie określone przyczyny, które uzasadniałyby takie obniżenie kursu? Niema wcale. Przypomnijmy sobie główne rysy finansowego i ekonomicznego położenia Rosyi, jakie wyjaśniły się w ostatnich czasach. Bilans handlowy ułożył się tak pomyślnie, iż rezultaty jego przeszły wszelkie oczekiwania: budżet, po raz pierwszy, po całym szeregu lat z deficytem, zamknięty został z pewną przewyżką dochodów nad rozchodami; cały szereg środków, skierowanych do usunięcia deficytu w przyszłości, należyty wpływ podatków, brak pożyczek — wszystko to dla bezstronnego obserwatora służyło za dowód, że ciężkie przesilenie minęło i finanse nasze poszły w górę. Nareszcie owe cła, jakie ks. Bismark zastosował do naszych produktów, nie zaszkodziły nam tak wiele i zdawało się, że odrodzenie ekonomiczne Rosyi należy uważać za fakt spełniony. A jednak kurs na giełdzie berlińskiej spada wciąż coraz niżej... Oczywiście, tajemnicza sprężyna, wprawiająca w ruch giełdę berlińską, nie leży w nieufności do ruskich finansów, nie w objawach upadku ekonomicznego, których zresztą niema, lecz w czemś zupełnie postronnem i zupełnie niezrozumiałem z punktu równowagi ekonomicznej... Oczywiście, czyjaś silna ręka kieruje prądami giełdowymi i według swej woli zmienia znaczenie warunków ekonomicznych i finansowych."

Owa „silna ręka" należeć może tylko do ciała niemieckiego. W Konstantynopolu wygrywa ona melodye wesołej operetki, a w Berlinie snuje smutną intrygę. Jeżeli zestawimy: oświadczenia *Praw. Wiestnika*, niemieckie „poparcie" żądań ruskich u Porty i niszczącą robotę giełdy berlińskiej, działanie tajemniczej ręki okaże nam się

bardzo widocznem. Czy wszakże ks. Bismark przypuszcza, że jej działań i ruchów nikt nie widzi? Dziś już on chyba nawet o to nie dba i okrywa się maską tylko z nałogu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Około sprawy bułgarskiej wirują znowu wypadki, domysły i pomysły fantazyjne. W olbrzymiej większości prasa nie spodziewa się żadnego poważniejszego skutku z roboty dyplomatycznej, gdyż rozstrzygający w niej udział Niemiec jest ciągle dwulicowym. Po każdym też objawie optymizmu w tej sprawie występuje zaraz gorzkie rozczarowanie. Gorzkie — nie dla wszystkich, gdyż dzienniki niemieckie robią minę niezadowoloną, a po cichu się śmieją i zacierają ręce. Austrya sprężyną w Berlinie naciskaną wysunięta naprzód dotąd stawia się hardo, ale ustawicznie ogląda się, czy za nią stoi ten, który jej odwagi dodaje.

Rząd angielski zaprzeczył w Izbie gmin pogłosce o zawarciu przymierza z jakiemkolwiek mocarstwem. Czemu dopiero teraz? Czemu Fergusson, zapytywany o to przed paru tygodniami, odmówił odpowiedzi? Czy przez ten czas w tajemnicy zniesione jajko rozbiło się? Tak przypuszczać wolno, to zaś nie wyłącza możliwości, że między tem oświadczeniem a chwilą obecną sklejono jakiś sojusz. Anglia bowiem nasuwa domysł, że nie jest obojętnym świadkiem zatargu o Bulgaryę i jakąś nicią zszyła swe interesy z interesami Austryi.

Rzecz niesłychana! Koło polskie w Wiedniu zamierza oprzeć się rządowi — nie dość tego— oprzeć się „ministrowi-rodakowi“ — jeszcze nie dość tego — oprzeć się w sprawie własnego kraju. Wiemy z doświadczenia, jak długo trwają te opory, łamane zwykle połechtaniem samolubstwa stańczyków, ale i ta butność coś znaczy. P. Dunajewski postanowił przywiązać jeszcze większe ciężary do zgiętego przemysłu gorzelniczego w Galicyi, a ponieważ to nowe brzemię dźwignąć mają posiadacze większej własności, więc zgroza ozwała się głośno. Dziwny to kraj i dziwni w nim ludzie! Rząd pozwolił im śpiewać i wykrzykiwać do syta, ale ciągle wypróżnia im kieszenie i doprowadza do nędzy. To się nazywa „ojcowską opieką.“ Jeśli Galicya jest rajem, to rajem żebraków, z których dostojni rodacy pomagają zdzierać coraz nową skórę, zaledwie ona obciągnęła naród cieniutką błonką. Wielce zasłużonym przewodnikiem, prawdziwym zbawicielem będzie dla Galicyi ten człowiek, który jej wytłomaczy, że wolność nie zamyka się w swobodnem śpiewaniu a dobrobyt — w tanich kartach. Ale taki człowiek nie otworzy tam uszu, przy których stoi i szepcze lub krzyczy w nie stańczyk, kłamca, sobek, wyzyskiwacz, zimny niegodziwiec i przebiegły gracz, któremu ustawicznie trzeba patrzeć na palce, gdy karty kładzie.

Ponieważ „sezon“ zimowy niespodziewanie się przedłuża, więc francuzi postanowili nie sprawiać sobie jeszcze nowego ministerium i zaczekać do wiosny. Gabinet Tirarda przetrwał burzę, którą mu już przygotowano z powodu funduszu „dyskrecyonalnego“ i dalej odkreśla w kalendarzu przeżyte dni motylego istnienia. Czy go nie wypędzą na trawę za tydzień lub dwa? Zależy to od trawy i od humoru „burzycieli ministeryów“ — którzy tam doszli do wielkiej wprawy w swojem rzemiośle.

Nieodnowiony traktat handlowy z Włochami, przy ogólnem rozdrażnieniu stosunków sąsiedzkich, sprowadził waśń nową. Z obu stron skaczą sobie do oczu koguty, rozweselające ks. Bismarka, który bardzo lubi patrzeć na to igrzysko. Zdaje się wszakże, że zmęczone koguty ustąpią miejsca ludziom rozważnym, którzy zawrą przynajmniej zgodę handlową. O politycznej bowiem nie ma mowy.

Następca tronu niemieckiego prawdopodobnie dogorywa. Kłócą się jeszcze przy nim „bergmaniści“ z „mackenzistami,“ ale to mu życia nie przedłuży. Ucichła nawet niedorzeczna plotka, przypisująca chorobę utkwieniu jakiegoś obcego ciała (pokarmu) w krtani. Gardło gnije, płuca cierpią, siły opadają, a niszczącego procesu medycyna wstrzymać nie może.

BADANIA NAUKOWE.

ECHA MESYANISTYCZNE
w Literaturze polskiej.

IV.

Krwawy poranek XVIII wieku. — Senna bezwładność. — Wpływ Zachodu i pokusy reformatorskie.— Konfederacya barska. — Przewaga nowych prądów i testament stronnictwa postępowego. — Katastrofy rozbiorowe. — „Sybilla“ i „Hymn“ Woronicza.

Odegrany na terytoryum Rzeczypospolitej epizod wojny północnej, daleko gorszą w sferze umysłowo-moralnej wydał dla narodu owoce, niż cały szereg przeplecionych tryumfami porażek i strat z drugiej połowy XVII stulecia. W dwu czarodziejskich wyrazach zamknięte hasło bojowe szlachty, walczącej pod sztandarami Czarnieckiego i Sobieskiego, utraciło swą moc pierwotną i stało się bezdusznym pustego dzwonu głosem. Zatargi domowe, od r. 1572, nie były rzadkiem w Polsce zjawiskiem; ale sytuacya społeczno-polityczna z pierwszych lat osiemnastego wieku nosi na sobie cechę odrębną. Każde z dwu stronnictw broni sprawy cudzej; każde słucha rozkazów naczelnego przewodnika — obcego narodowi, zarówno pod względem etnologicznym, jak i wyznaniowym. Rycerza zastępuje żołdak. Uczucie patryotyczne kurczy się na Prokrustowem łożu fatalnych wypadków, a religijne, dalekie od podniebnego wzlotu, pełza w chwastach codziennej praktyki. Żadnej podobno zmiany w tym nastroju poziomym nie wywoła konfederacya tarnogrodzka (1715—1717), przedstawiająca poprawną jakoby edycyę rokoszu Lubomirskiego. Po „sejmie niemym“ następuje długa cisza, „głęboki sen ducha nad przepaścią“—epoka ubezwładnienia organów rządowych na rzecz potężnych jednostek i rodów, doba ucząt nieustannych obłudnie prawomyślnego magnata i mnicha. „Nierządem Polska stoi“ i *pod strażą Boga*... Można więc rwać sejmy i trybunały w imię świętej „źrenicy wolności,“ ale trzeba koronować obrazy cudowne i tępić resztki niedowiarstwa — bo to się niebu podoba... Około roku 1733 reakcya

NIEŚMIERTELNE DUSZE.

II.

Objaśnienie.

Mówieniem a zwłaszcza milczeniem o pracach moich tak przekonywająco udowodniono małą ich wartość, że drukując pomimo to dramat obecny, mam tylko odwagę prosić czytelników o wyrozumiałość dla niepoprawnego uporu, ale nie śmiem tłomaczyć się, czemu dopiero w 12 lat po *Ojcu Makarym* wydaję część drugą „Dusz nieśmiertelnych.“ Natomiast wyręczając życzliwą domyslność, której tyle szlachetnych usług zawdzięczam, w odszukiwaniu nici przewodniej tego utworu, sam go tu kilkoma słowy objaśnię.

Niedawno p. Krzywicki słusznie zauważył w *Prawdzie*, że „socyalizm“ stał się dziś rodzajem śmietnika, w które niewiadomość wrzuca najrozmaitsze zasady i teóryę, często niemające z tym systemem nic wspólnego. Śmietnisk takich historya zna wiele: należał do nich ateizm, materyalizm, masonizm, a u nas w ostatnich czasach pozytywizm — i inne. Są to kopce graniczne pola prawomyślności, która tak niezmordowanie pracuje nad ich powiększeniem, że nieraz wzrastają do miary olbrzymich piramid. Ponieważ *Aureli Wiszar* zajmuje się robotnikami, więc może być również ciśniętym w śmietnisko socyalistyczne. Otóż winienem — o ile to przed trybunałem niewiadomości jest wykonalnem — obronić go od takiego losu. W poprawianiu doli robotniczej działają dziś głównie trzy czynniki: socyalizm rewolucyjny, państwowy i humanizm. Ewangelia pierwszego znana, więc ją pomijam, tem bardziej, że nie jestem jej wyznawcą, a mój utwór — nie jej apostolskiem kazaniem. Wiadomo również, że rządy zaprowadziły rozmaite reformy w ustawodawstwie fabrycznem, ubezpieczające pracowników od wyzysku pracodawców. Pozostaje żywioł trzeci — humanizm. Stary ten, ciągle odmładzający się, zawsze wspaniałomyślny a często marzycielski idealista jest ojcem moich bohaterów szeregu dodatniego. Nie ma on ściśle oznaczonego planu, stwardniałych zasad, odważonych pragnień, więcej kieruje się gorącem uczuciem, niż chłodnym rozumem, niedoświadczony i łatwowierny, poeta, nie badacz, wyciąga ręce do widm uroczych, obejmuje uściskiem mary szczęścia powszechnego, wyklina wszelkie cierpienie jako okrucieństwo gwałtu, rozpala w lodach ognie, które ciągle gasną i odgarnia mroki, które ciągle słońce zakrywają. Zdaje mu się, że samą dobrą wolą złe ze świata wyprze i nigdzie oporu nie spotka. Pesymistą jest tylko w niezadowoleniu z rzeczywistości, ale optymistą w możliwości dokonania jej zmian. Dopóki go zawody nie złamią, echa własnego głosu, odbite od skał pustyni, bierze za braterskie odkrzyki i nie może uwierzyć tej okrutnej prawdzie, że chęć uszczęśliwienia ludzi wywołuje śród nich natychmiast odparcie mocniejsze od jej rzutu, że to przeciwdziałanie występuje szybko zorganizowane i skutecznymi środkami opatrzone przeciw marzycielstwu jednostkowemu lub rozstrzelonemu, że gdyby nawet ktoś zaczął rozgrzewać zmarłego biedaka tchem swoim, powinien być przygotowany na to, że zbudzi czyjąś naganę.

Ideolog ten nie pomija w ciągu wieków ani jednego ich ważnego zagadnienia a każde stara się rozwiązać uczuciem.

Z kolei zajął on się sprawą robotniczą, w której zdziałał wiele dobrego, ale niepomiernie mało w stosunku do swoich zamiarów i poświęceń.

Jak na tle tej sprawy rysują się rojenia tego humanizmu, a dalej— jaką siecią walk i cierpień zasnuwają one koło swobody jednostkowej, zakreślone skromnym promieniem dobrej woli, jak wielobarwna taśma ich tęczy płowieje i drze się, przeciągnięta przez ciernie rzeczywistości — zobaczą czytelnicy w dramacie obecnym. Nie jest on wcale mieczem, rozcinającym węzeł ekonomiczny, nie jest bynajmniej rozpuszczoną w fantazyjnej cieczy solą praktyczną, lecz artystycznie ułożoną grupą kryształków myśli i uczuć, które osadzają się w mętnej mieszaninie skłóconych pierwiastków życia pod działaniem pewnego prądu elektrycznego. Kryształki te są czyste, cenne, należą do klejnotów zdobiących człowieka, ale nie stanowią szkieł, przez które umysł ścisły bada sprawy świata. To też Wiszarowie uromaicają krainę marzeń, ale nie dostarczają wzorów rzeczywistości. Za zbyt bowiem się mylą.

katolicka w Polsce dochodzi do ostatecznego kresu. Już w 1718 zatamowano głos wolny Piotrowskiemu, ziemi wieluńskiej posłowi, z tej przyczyny, że był wyznawcą religii Kalwina; konfederacya 1733 roku stwierdziła ten fakt i uogólniła, a w 1735, na sejmiku w Środzie, odebrano nawet akatolikom prawo głosowania na posłów. Wysilił się więc na naszej ziemi (zbyt późno niestety) zgubny prąd, skazujący umysły obywateli na martwotę, a wojna o wybór króla polskiego (1733—1735), uwieńczona abdykacyą Stanisława, za cenę księztw Lotaryngii i Baru, wytknęła drogę do porozumienia się z tą krainą zachodnią, która na torze cywilizacyjnym przyświecała podówczas Europie. Wodzowie ruchu (Leszczyński, Konarski, Czartoryscy i król Poniatowski, z liczną satelitów swych falangą) pracowali usilnie nad wyplenieniem przesądów, ukształceniem opinii publicznej, a nadewszystko nad reformą systemu wychowania i przebudowania państwa w duchu monarchii konstytucyjnej, według wskazówek Montesquieu'go. Błędy, jakie popełnili, niepowodzenia, jakich doznali, nie mogą być uważane za podstawę do odmówienia im ważnej roli siewców społecznych, wyprowadzających naród z objęć fałszywej teoryi, z poświęcanych jaskiń ciemnoty i trwogi na świetlany gościniec postępu. Dążenia takie musiały naturalnie wywołać opór w masach narodu— tem gwałtowniejszy, im śmielsze były kroki cywilizatorów. Konfederacya barska przedstawiała wynik skomplikowanych przyczyn — konieczny wszakże wobec barwy narzucanego społeczeństwu programu, stosunków partyi postępowej i zestarzałej bezsilności państwa. Choćbyśmy nawet przypuścili, że popierany przez „familię“ system wcale nie odpowiadał potrzebom, to i wtedy należy się jej poklask za wskrzeszenie poczucia narodowego i wprowadzenie wywołującego rozwój czynnika.

W ówczesnem jednak piśmiennictwie napróżnobyśmy wawrzynów dla konfederacyi barskiej szukali. Rymotwórcy - dworzanie nowemu już hołdują duchowi. Zbliska zresztą mniej uroczo fakt się ten zarysował, niż z odległości lat siedemdziesięciu. Po dokonanym pogromie i pierwszym rozbiorze idea zwyciężonych, wraz z krwią poległych wsiąkła w ziemię. Prąd, wiejący z Zachodu, coraz szerzej się rozpościerał. Patryotów młodych drużyna, w nowej wychowana szkole, poczęła coraz głośniej mówić o zapadłej dawnych ideałów świątyni. Dwa, zawrotną pracą wieków splątane, pojęcia — „wiary“ i „ojczyzny“ — rozwiedziono w przekonaniu, że zbawienie Rzeczypospolitej nie od pokornych do „królowej“ modłów, ale od mądrej rady i dzielnego czynu zależy. Testamentem tego stronnictwa, odpowiednio do okoliczności i warunków praktycznych zmodyfikowanym, jest „konstytucya trzeciego maja.“ W głównych zarysach stanowiąc akt postępowy, zdradza przecież miejscami zbyteczną dla ducha zachowawczego uległość. W dodatkowej *deklaracyi* stany zgromadzone „naznaczają dzień św. Stanisława, biskupa i męczennika, patrona korony polskiej, za uroczysty w roku“ i uchwalają, na pamiątkę konstytucyi, wystawić kościół pod wezwaniem Opatrzności. Jest to jeszcze małej wagi szczegół, świadczący nie tyle może o trwałości kultu uanielonej Bolesława Szczodrego ofiary, ile raczej o sympatyi dwu stanów sejmujących dla pogodzonego z narodem króla. Artykuł 1-szy, p. n. *Religia panująca*, wszelkim wyznaniom zapowiadając wolność, ważniejsze dla kościoła zamyka ustępstwo: „przejście od wiary panującej do jakiegokolwiek wyznania jest zabronione pod karami apostazyi.“ Tak więc w najokazalszym, bo najliberalniejszym pomniku staropolskiego prawodawstwa tkwi jeszcze wyraźnie ziarno zaszczepionej przez Skargę nietolerancyi.

Następne lata, nieszczęściami brzemienne i ciężkich pełne zawodów, usuwając ziemię z pod nóg spóźnionym pracownikom, zwróciły ich w sposób naturalny ku niebu i przyszłości. Ta zmiana wszakże nie była dziełem jednej chwili. Około r. 1800, pod wpływem wyjątkowej losów społecznych kolei, niezależnie od prądów z zagranicy płynących, wytwarza się nowy świat uczuć i marzeń. Najpiękniejszym tej chwili kwiatem jest *Sybilla* i *Hymn* Woronicza.

Pod względem budowy artystycznej pierwszy z tych utworów wielkie z *Zofiówką* przedstawia pokrewieństwo i jest, podobnie jak ona, w pewnej części kopią *Ogrodów* Delilla. Nie uniknął też autor pozorów panegiryzmu, co go znów z Trembeckim zbliża. Duch jednak, ożywiający *Sybillę*, jest równie oryginalny, jak płacz dziecięcia albo jęk nędzarza, i nic nie ma wspólnego z gadkową wartością moralną strzyżonych, pseudo - klasycznych bukietów. Izabella Czartoryska, zakładając w tak zwanej „Świątyni Sybilli“ muzeum starożytności polskich, miała zamiar zgasłą przeszłość godnym uczcić grobowcem i w pamięci potomnych utrwalić. Woronicz duma nad tą mogiłą, kreśli optymistyczne ubiegłych epok obrazy i promieniem światła rozumowego stara się rozjaśnić szarą, jak mgła jesienna, marę przyszłości narodu. W przeglądzie historyi polskiej, od Kazimierza W. aż do ostatnich czasów, na same niemal czyny bohaterskie natrafia. Charakterystyka figur ludzkich jest nazbyt monotonna i często fałszywa. Lekką naganę, pod piórem Woronicza, zaciera prawie zawsze przesadne światło uznania. Augusta III-go np. nazywa poeta „bezwładnym sternikiem skołatanej nawy,“ ale go chwali, że umiał „być czułym, cierpliwym i hojnym.“ Na jaskrawem tle nikną jasnymi kolorami kreślone obrazy. Górująca tylko postać Kazimierza W. i Stefana Batorego jako tako się uwydatnia. Wypadki dziejowe nie przedstawiają ścisłej między sobą łączności; ale są oddane w plastyczniejszym nieco rysunku, niż oblicza bohaterów. Punktem wyjścia dla wieszcza jest głębokie odczucie obecnej niedoli; ogniskiem wspomnień, ku któremu się często zwraca — widmo sejmu czteroletniego; celem — pociecha, a może uchylenie zasłony, kryjącej przed wydziedziczonym zagadkowe jutro. Rzecz w istocie godna uwagi, że kapłan-poeta (którego, jako kaznodzieję, ze Skargą zazwyczaj porównywają) nie zdradził tu wcale tendencyj księżych; co ważniejsza, tak swój tren opisowy, nad ojczyzny grobem wyśpiewany, jednym zabarwił uczuciem, że na powianie kadzidłem katolickiem ku niebu — już miejsca nie starczyło. Milczeniem pomija „herezyę;“ nic nie mówi o cudach, dokonanych przez „królowę korony polskiej:“ krzyżaków nazywa pogardliwie „nawracańcami orężnymi,“ a Posewina „zręcznym...“ Bolejąc wreszcie nad upadkiem kandydatury carskiej Władysława IV, która mogła

---

1)

AURELI WISZAR

dramat w trzech aktach

W. Okońskiego.

(Dzieje się współcześnie w Krakowie).

Włodzimierzowi Wysockiemu

Autor.

AKT I.

(Mieszkanie Wiszarów).

SCENA I.

Okwit i Morski.

Okwit.

A zyski?

Morski.

A straty? Podzielicie się niemi również?

Okwit.

Straty nie będą naszą winą. My zrobimy wszystko, jak należy, a panowie mogą naszą pracą źle zarządzić i stąd wynikną szkody, za które nie będziemy odpowiedzialni, więc nie powinniśmy ich ponosić.

Morski.

A przypuśmy, że spadną od zarządu niezależne klęski, złe czasy; czy i wtedy tylko właściciel fabryki ma pokutować?

Okwit.

On może tracić, bo ma z czego, my—nie.

Morski.

Ale on także umiejętnem kierownictwem i zużytkowywaniem waszej pracy osiągnie zyski, które wy zabierać chcecie.

Okwit.

Nie wszystkie, nie wszystkie. Niech i pan Wiszar i pan dyrektor i inni zarządcy z nami do podziału staną.

Morski.

Aż tyle łaski! Nie spodziewałem się. Tymczasem, mój Okwicie, dopóki zając w lesie i szybko biega, nie możemy rozprawiać, kto i co z niego jeść będzie. Naprzód musi stanąć całkiem do ruchu gotowa fabryka...

Okwit.

Za tydzień będzie skończona.

Morski.

Więc za tydzień pomyślimy o podarkach dla pilnych robotników.

Okwit.

O podarkach? Co pan dyrektor mówi? My sobie rozumujemy...

Morski.

Ach, to całe nieszczęście, że rozumujecie — i to głupio.

Okwit.

Sobie, proszę pana, sobie. Otóż my sądzimy, że płaca dzienna będzie tylko zaliczką na rachunek zarobku, który się dopełni po każdym roku z obliczenia i rozdziału zysków.

Morski.

To dla powodzenia fabryki zbyt mądre.

Okwit.

Rozum, za pozwoleniem pańskiem, nie szkodzi nawet przy wyrabianiu papieru.

Morski.

Rozum, jak szparag, gdy zbyt przerośnie, nic nie wart.

Okwit.

Owszem, i wtedy na nasienie zdatny.

Morski.

To też, zamiast być robotnikiem, zostań nauczycielem i siej go w szkole. Jeżeli twoi towarzysze mają podobnie dużą gębę dla cudzej kieszeni — nie zgodzimy się. Dziś mówić możemy tylko o warunkach zwykłego najmu. Przystajecie?

Okwit.

Przepraszam pana dyrektora, ale jeszcze raz powtórzę, co pan Wiszar obiecywał: wynagrodzenie dzienne będzie zadatkiem należności, którą po zamknięciu rachunków rocznych uzupełnimy z czystego dochodu. Więc chcielibyśmy usłyszeć: według jakich prawideł będą nasze korzyści oznaczane?

Morski.

Spytajcie pana Wiszara, ja nie wiem.

Okwit.

Czemu pan biednemu ludowi chce szczęście okroić? Ach, zawsze mu ktoś biedę z zanadrza wyjmie: nie właściciel fabryki, to dyrektor, kasyer, majster. (*Po chwili*). Dola nasza bodzie pana. A przecież my nie włożymy łyżek do pańskiego talerza, nie odjemy strawy. Niech pan będzie za nami, kiedy pan Wiszar ma dobrą wolę.

Morski.

Ale ja dotąd wcale nie wiem, jaką pan Wiszar ma wolę; o tem tylko jestem przekonany, że jeśli wam zupełnie dogodzi, dya-

utorować drogę do wczesnej unii „dwu pokrewnych narodów słowiańskich,“ narzeka na „przywidzenia, upór i złe rady,“ jakby się sam nigdy w szkole jezuickiej nie kształcił. Wierzy on silnie w Opatrzność, kierującą losami ludów, ale świeckim przeważnie natchniony duchem, za bezpośrednich sprawców upadku uważa zdradliwe, z lennictwa niegdyś do majestatu państwowego podniesione Prusy i domowych własnej krwi zaprzańców. Wie, że nie jesteśmy bez winy— mówi o nierządzie; ale istotnych przyczyn skonu politycznego określić nie potrafi. Przewiduje w końcu jakąś pogodniejszą dla narodu przyszłość — pod nową już wszakże postacią:

„Nie zagrzebie waszego rodu ta mogiła:
Troja na to upadła, aby Rzym zrodziła...“

Słaba to, zaprawdę, dla patryoty żarliwego pociecha... *Hymn o dobrodziejstwach Opatrzności*, będący późniejszym wobec *Sybilli*, płodem talentu Woronicza, wyraźniej, niż ona, uwydatnia wieczyste narodu z niebem „przymierze.“ W porównaniu z poprzedními wyrazami tego samego szeregu pojęć, (np. z psalmami Kochowskiego) hymn odznacza się głębszem o wiele natchnieniem i zdradza czyste, graniczące niemal z teizmem uczucie religijne.

Antoni Gustaw Bem.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

II.

Condillac w polskim języku. — Skargi prof. Struvego. — Dlaczego nie lubimy filozofii? — Nowe czasopisma filozoficzne. — Mowa Moleschotta w Rzymie.— Filozofia górą.

Jakoś nie miałem dotąd sposobności przyjrzenia się bliżej *Traktatowi o wrażeniach zmysłowych* Condillaca, w tłomaczeniu polskiem. Domyślasz się pewnie, że wyszło w „Bibliotece filozoficznej,“ pupilce prof. Struvego. Choć nerwowość wieku sprawiła, że uczony ten pisarz odsądził mnie od prawa zabierania głosu w sprawach filozofii, jestem jednak na tyle zuchwały, że mu teraz biję oklask całą siłą dłoni moich. Bluźnierstwem byłoby przypuszczać, że zaprezentowanie teoryi poznania, opartej na zmysłach, po Platonie i Kartezyuszu — jest następstwem przebąkiwań o stronności, a może tylko jednostronności w wyborze dotychczasowym. Ale bądź co bądź równowaga przywrócona i to w sposób wymowny. Po słabem udowodnieniu przez Descartes'a idei wrodzonych — zjawia się zręczna i dowcipna obrona wiary, iż jedynem źródłem poznania naszego — są wrażenia. Condillac bowiem jest dla Francyi tem, czem dla Anglii Locke. Umysł z chwilą przyjścia jego na świat uważa za „gołą tablicę,“ na której dopiero przedmioty i zjawiska zewnętrzne wypisują: wrażenia, uwagę, kojarzenie pojęć, wyobrażenia, słowem wszystko, co zwiemy treścią duchową, jedynie za pośrednictwem narządów wzroku, słuchu, powonienia, smaku i dotyku, bez żadnych na korzyść uposażenia naturalnego zastrzeżeń. Tak jak konsekwentnym, skrajnym i jasnym rzecznikiem materyalizmu zeszłego wieku jest De la Mettrie, tak samo najlepszem upostaciowaniem sensualizmu bezwzględnego jest Condillac. Możnaby dodać, że uzupełnił on arsenał dowodowy kierunku nową metodą przekonywania niechętnych. Gdy zwykle dochodzi się do owej przypuszczalnej *tabula rasa* przez kolejne odejmowanie osobnikowi zmysłów, przez analizę — Condillac postępuje odwrotnie: oto bierze istotę całkiem bezzmysłową i darzy ją stopniowo organami, które utrzymują nasze stosunki ze światem zewnętrznym. Wyobraża sobie w tym celu jakąś istotę marmurową, którą darzy najpierw jednym, potem dwoma, potem trzema zmysłami itd. jednocześnie sumując to, co zdziałały nabytki pierwszych przez wzajemne kombinowanie. Jest to praca mozolna, ale niesłychanie bystra i ciekawa. Sama zaś postać owa ma to jeszcze znaczenie, że najlepiej ocenia cały system, albowiem każdy nieuprzedzony musi zapytać: ażaliż można zamiast żywego ustroju, obdarzonego mózgiem i nerwami, podstawiać bryłę nieczułą i martwą od stóp do głów? Czy złożone procesy życiowe, odbywające się w organizmie, można choćby na chwilę uznać za nieistniejące? Choćbyśmy jaknajdokładniej zmierzyli i zbadali obszar wiedzy przybywającej nam z zewnątrz, nigdy nie będziemy w stanie orzec stanowczo, że rola mózgu jest przed nią żadna. Kant dowodził, że wrażenia przenikają do duszy, układając się w formy pojęć czasu, przestrzeni i dwunastu jeszcze stałych kategoryj — formy już gotowe i od natury naszej nieodłączne. Empiryzm angielski ze Spencerem na czele usiłuje wyprowadzić je z doświadczenia, ale mu się to jeszcze nie udało. I w chwili bieżącej filozofia za żadnym z przeciwników nie oświadcza się wyraźnie.

Na pochwałę też trzeźwości Condillaca nadmienić wypada, że choć sensualista „w każdym calu“ — materyalistą nie jest. Dla niego nie materya czuje i postrzega, nie zmysły, ale coś, co się nimi jeno posługuje. Niech cię więc nie dziwi, jeśli szukając bliższych wiadomości np. u Langego, o Condillacu znajdziesz jeno przygodne wzmianki, a nie specyalną rozprawę.

W przedmowie prof. Struve utyskuje na brak zamiłowania u nas do utworów oderwanej myśli, na powierzchowność i płytkość sądów, gdy o nie chodzi. Obowiązkiem każdego, kto choć cokolwiek światła filozofii zawdzięcza — skargom tym wtórować głośno. To prawda, że jesteśmy publicznością strasznie niefilozoficzną. Pomijając już lepszych nieco znawców, których wyliczyćby można na palcach jednej ręki — nawet ci, których zawód literacki graniczy o ciienką ścianę z filozofią, nie mają o niej najmniejszego pojęcia. Mamy wyrocznie w ekonomii, nierozumiejące, co to jest etyka, mamy „znanych i cenionych“ krytyków i estetyków płci obojej, którzy *brawują swym wstrętem do filozofii* (mogę ci na ucho powiedzieć, kto taki), mamy krzykliwych wielbicieli Taine'a i Brandesa, którzy nie raczą nawet zapytać podręcznika co to jest determinizm, no, a socyologów domorosłych jużbym chyba nie naliczył.

Może i słuszność ma prof. Struve, że przyczyną ciemnoty w rzeczach filozofii jest brak tłomaczeń klasycznych dzieł, coby pozwalało u źródeł samych odnośne wykształcenie czerpać. To pewna, że nawet francuzi — o niemcach, jako o wzorze niedoścignionym, milczę — posiadają wszystkie wpływowe systemy w języku swojskim, objaśnione i uprzystępnione dla chciwych wiedzy i zazdrość mię ogarnia, ilekroć prze-

---

bli akcye fabryki rozkupią. Krotko mówiąc — runie.

Okwit.

My podeprzemy.

Morski.

Ho, ho, ho — pajęcze liny podtrzymają okręt w burzy. Szkoda język zdzierać takiem gadaniem. Poprostu jesteście śmieszni. I ja wam dobrze życzę, ale na długo, wy zaś sobie — na krótko. Zawierzcie mojemu doświadczeniu.

Okwit.

I ja nie od wczoraj na świat patrzę, a musiała tam się w głowę moją kruszyna rozumu zaprószyć, kiedy towarzysze wybierają mnie zawsze na swego przedstawiciela i obrońcę.

Morski.

Bo więcej od nich gadasz. Znam dobrze i nie lubię takich adwokatów robotniczych a panu Wiszarowi przedewszystkiem doradzę, ażeby nie przyjął — ciebie.

Okwit.

Jeśli mnie tu wysłali, to za mną tylko pójdą. Zresztą miałby pan z nimi więcej kłopotu beze mnie.

Morski.

No, to weźże ich sobie i zaprowadź gdzieindziej.

Okwit.

Więc co mam im powiedzieć?

Morski.

Żeś głupi.

Okwit.

Jeszcze mi pan chleba nie dajesz, a już mnie znieważasz. Oj panie dyrektorze, jak to trudno być robotnikiem i człowiekiem. Ha, powiem im, żeśmy wszyscy głupi. (*Wrzawa*). Sługa pana dyrektora. (*Wychodzi*).

Morski.

Nie dla mnie.

Wiszar (za sceną).

Dobrze, dobrze, ale bądźcie cierpliwi.

Morski (sam).

Aha! Ty teraz bądź cierpliwy. (*Wiszar wchodzi*).

SCENA II.

Morski i Wiszar.

Wiszar.

Trzeba, kochany panie, z robotnikami skończyć. Nieprzyjemne to, że zbierają się gromadami i szemrzą, a teraz mnie wprost napadli.

Morski.

To skutek zbyt wspaniałomyślnych obietnic.

Wiszar.

Co przyrzekłem — dotrzymam.

Morski.

Jaką więc mam z nimi zawrzeć umowę?

Wiszar.

W fabrykę tę wkładam prawie cały mój i mojej żony majątek. Za to i za pracę chcę otrzymywać tylko 5 procent, resztę zaś zysków podzielić między robotników według ich uzdolnień i zasług.

Morski.

Dopóki będą zyski, a jeśli wynikną straty?

Wiszar.

Nie spodziewam się.

Morski.

Nawet zegarek staje i psuje się, a cóż dopiero przedsięwzięcie zależne od tylu nieprzewidzianych wypadków, jak wyrób papieru. Nadto powinniśmy być przygotowani do walki ze współzawodnikami, którzy nie będą przebierali w środkach.

Wiszar.

Pokonamy ich dobrocią towaru i szczęściem naszych robotników.

Morski.

Dobroć towaru nie zawsze w przemyśle zwycięża, a co do szczęścia robotników, będzie ono rosło kosztem fabryki. Niech mi pan daruje szczerość, ale w planie pańskim więcej widzę fantastycznej poezyi, niż trzeźwej rachuby.

Wiszar.

A pan jakże radzisz?

Morski.

Zgodzić robotników na zasadach powszechnych, wynagrodzić sprawiedliwie, dbać o ich dobrobyt, z zysku zasilać ich kasę oszczędności, ale nigdy nie dopuszczać ich do żadnego wspólnictwa nawet w dochodach. To byłoby pieczeniem kartofli na beczce z prochem. W dwudziestoletniem doświadczeniu miałem sposobność tych ludzi poznać tu i za granicą; wszędzie są jednacy, wszędzie stanowią materyał nieprzydatny do przedsięwzięć idealnych, a skłonny do niszczących i bezmyślnych wybuchów.

Wiszar.

Jeżeli będą zadowoleni...

glądam ogłoszenia Alcana i podobnych mu wydawców. Czy kiedykolwiek *Biblioteka filozoficzna* sprostа mu — bogdaj! — ale wątpię; za mało sprężyście jest prowadzona.

Lecz jest okoliczność ważniejsza, którą jej mecenas w zgorzknieniu swem prześlepia. Nie z książek płynie pierwsza zachęta, ale do nich się zwraca, odebrawszy impuls skądinąd, zazwyczaj z żywego słowa. Czyja wina, że literaci nasi, przeważnie w Warszawie wykształceni, tego elektryzującego bodźca nie otrzymali?..

Nadmieniam, że *Traité des sensations*, przez tłomacza (p. Antoniego Langego) opatrzony został wstępem objaśniającym.

Chciałem zamilczeć o niemcach — ale niepodobna; sami leżą w oczy; tym razem składając nowy świetny dowód swej głębokiej dla filozofii czci. W końcu roku ubiegłego zaczęli wydawać wysoce poważne czasopismo, specyalnie dziejom jej poświęcone. Nosi tytuł: *Archiv für Geschichte der Philosophie*, za współpracowników stałych ma ni mniej ni więcej tylko: Ludwika Steina, Hermana Dielsa, Wilhelma Diltheya, Benno Erdmanna, Edwarda Zellera, Zieglera, Bywatera, zaprasza zaś prócz tego wszystkich myślicieli, którzy mają coś do powiedzenia w sprawie przeszłości tej krainy dociekania. Słynny autor *Historyi filozofii greckiej* Zeller w artykule wstępnym mówi: „Wykład historyczny jest zawsze dziełem jednostek, które przedstawiają fakta tak, jak się im samym okazały; ...lecz materyał, stanowiący rdzeń tych faktów, jest bardzo bogaty; wymaga on przygotowania naukowego, na tyle złożonego, że koniecznem staje się, by wielu naraz badaczów łączyło nad nim swoje prace: otóż zjednoczenie tych pojedynczych wysiłków w celu dopełnienia prawdziwej historyi filozofii — stanowi założenie naszego Archiwum.“ Zbyteczna nadmieniać, że wydawnictwo nosi cechę międzynarodowego.

Nawet tak mało zamiłowane w abstrakcyi Stany Zjednoczone nie zostawiają odłogiem żyznego pola. Psycholog Stanley Hall, profesor wszechnicy w Baltimore, założył dziennik umiejętności ducha, gdzie zamierza szeroko uwzględniać te same mniej więcej działy, jakie przeważają ostatnimi czasy w znanym *Przeglądzie filozoficznym* Ribota; a więc: psychofizykę, anatomię systemu nerwowego, hypnotyzm, psychologię zwierząt, zboczenia umysłowe, nie licząc naturalnie zadań podstawowych, jak studya nad wyobraźnią, uczuciami, wolą, kojarzeniem pojęć itd.

Umyślnie dzielę się z tobą temi dwiema nowinami, w przekonaniu, że postawione obok narzekań prof. Struvego, najwymowniej w chwili obecnej malują żywotność zagranicy, a niedołęztwo nasze w dziedzinie, z wszystkich najbardziej humanitarnej i szerokiej.

Bo że jest ona taką — nikt nie zaprzeczy, a niedawno stwierdził znakomity Moleschott ponownie, szkicując ładny obrazek jedności i zgody wszech nauk pod skrzydłem filozofii. Było to w mowie, wygłoszonej przed uniwersytetem rzymskim na uroczystość rozpoczęcia roku akademickiego. Sławny biolog zczepił z sobą ważniejsze gałęzie umiejętności, wykazując zarazem, jak się między niemi węzły z postępem wiedzy zaciśniają. Oto nić rozumowania.

Nauka, uwierzywszy w przemianę gatunków po obaleniu teoryi, wedle której bogactwo typów w żywej przyrodzie jest dziełem chaosu i przypadku — zawarła sojusz z geologią, by od niej dowiadywać się o odmianach wymarłych i skamieniałych i tym sposobem często zapełniać szczerby w drabince rozwojowej. Snując ewolucyę dalej, tj. po za moment ukształtowania człowieka — bada ona jego życie pierwotne, rasy, szczepu, w dalszym ciągu cywilizacye i oto wyciąga rękę do archeologii, etnografii, etnologii, językoznawstwa, które z takiej nawet odległości zawraca do nauki o życiu, dla poznania fizyologii dźwięków mowy ludzkiej.

W wiedzy przyrodniczej osobliwe zaszły zbliżenia. Gdy np. sztuka lekarska posługiwała się botaniką bardzo słabo, przeważnie widząc w niej pewną gimnastykę umysłu, ćwiczącą zmysł postrzegania — narodziny teoryi grzybków chorobotwórczych zrobiły przełom w nauce o przyczynach chorób (etyologii) i niemal reformuje całą medycynę. „Na pozór związek to jedynie na granicie istot nieskończenie małych; w rzeczy samej jednak na nim to rozwija się ekonomia natury organicznej, cykl życia, który obejmuje śmierć, a z śmierci tej niby prawdziwy feniks, nowe bezustannie wykwita życie.“

Podobnież dobrodziejem stała się fizyka. Podaje ona dłoń pomocną chemikowi, nastręczając w analizie widmowej sposób wykrywania w ciałach nawet najdrobniejszych ilości substancyj, z czego korzysta zarówno astronom, ciekawy budowy chemicznej świateł niebieskich, jak i fizyolog-medyk, chcący zbadać szybko stopień utlenienia w materyi zabarwiającej krew.

Czem jest dla wszystkich tych sprzymierzeńców matematyka, wie prawie każdy — sprawdzianem nieomylnym wszelkich obserwacyj. Wszędzie, gdzie chodzi o wymiar czasu, przestrzeni, siły, jest ona pewnym, niezachwianym w swej czujności kontrolerem, a nawet źródłem poznania. Nadto poznaniu nadaje formy i staje się „rysownikiem myśli“; nawet artyście nie wolno sprzeciwiać się prawom geometryi.

Stąd wycieczki w krainę mądrości greckiej są niesłychanie ważne. Dowodzą one wprawdzie, iż filozofia nie zdołała obronić swej wiary w idee a priori, w pewniki człowiekowi wrodzone, ale świadczą wymownie, że ustawiczną, niesłabnącą nigdy potrzebą naszej natury — jest odrywanie się od świata zmysłów i usiłowanie przeniknięcia w jakąś sferę bytu absolutnego, pogoń za prawdami wiekuistemi, ciągły wysiłek myśli, nienasycona żądza zgłębienia istoty wszechrzeczy, która stworzyła Sokratesa i Platona, Arystotelesa, Lukrecyusza, Bacona, Descartesa, Galileusza i Kanta.

Zmieniając swe powołanie z biegiem czasu, filozofia stanęła na fazie wielce zaszczytnej: jest syntezą wiedzy ludzkiej, koroną nauk; nie marzy, jak dawniej, o wysnuwaniu z idej faktów, ale naodwrót, z faktów wywodzi szerokie uogólnienia, łączy je w harmonię prawdy, piękna i dobra. Prócz więc misyj ogólnych: być nauką nauk, prawodawczynią metody dociekania — ma swe zadanie własne i rozległe bardzo, pielęgnowane w dwu obszernych państwach: etyki i estetyki.

„Tak pojęta filozofia jest absolutną nauką, rękojmią postępu, stróżem moralności, pośredniczką między nauką a sztuką, najwyższym wyrazem swobody myśli.“

Upozytywnieniu filozofii wiedza zawdzięcza bardzo wiele. Tylko kultem faktów

---

Morski.

Nie będą nigdy. Za wiele pan od nich wymaga. Tylko człowiek ukształcony stawia kres swoim żądaniom; ciemny, nie mogąc zmierzyć ich słuszności, posuwa je tak daleko, aż spotka niepokonany upór. Jedynem prawem dla niego jest siła, jedynie sprawiedliwą taka zapłata, której ani prośbą, ani groźbą podnieść nie zdoła. Niemożliwość otrzymania więcej uczy go, że otrzymał dosyć.

Wiszar.

Z tych słów nikt by nie domyślił się, że pan jesteś bardzo dobrym.

Morski.

Czy złym jest ten, kto nie pozwala małpie skakać po szklankach i golić się brzytwą? Podróżując po Afryce, przebywając śród plemion dzikich, widziałeś pan przecie ludzi, którzy mają tyle podobieństwa z cywilizowanymi, ile liszka z motylem. Nie sądź pan, że nasi robotnicy zrzucili wiele skór dziczyzny. To mieszanina nizkich pożądań, samolubnej chciwości i głupiego mędrkowania, która zawiera mniej pierwiastków szlachetnych, niż najuboższy w złoto piasek ziaren metalu. Nieraz całą ich wartość moralną stanowi nieszczęście. Zapewne, gdy wilk przywiązany w sadzawce, gdzie mu krew wysysają pijawki, wyje, uczuwam dla niego litość, bo cierpi; ale to cierpienie jest jedynym jego przymiotem. Tak samo bywa nieraz z tymi bohaterami nowożytnej sielanki — robotnikami.

Wiszar.

Och, panie Morski, rzeczywiście gotów byłbyś karmić nimi pijawki.

Morski.

Nie, ale wiem, że kubek drewniany nigdy dzwonkiem nie będzie, nawet posrebrzany. Życzę im dobrze i dlatego ostrzegam, ażeby ich pan nie znarowił. Kiedy zacny ojciec pański, ksiądz Makary, odjeżdżając na swe apostolstwo do Afryki, wezwał mnie, ażebym porzucił fabrykę francuską i nad pańską ster objął, natychmiast opuściłem miejsce wygodne i starą głowę przywiozłem na usługi syna przyjaciela mojego. Widzę jednak, że ona się panu nie przyda, że zatęchła dawnemi wyobrażeniami, że tu potrzeba młodszej, złudzeniami rozpalonej.

Wiszar.

Tak prędko i tem tylko zniechęciłem was, kochany panie, że z rąk biedaków boję się wytłaczać dla siebie krwawych kropel zysku i własnych pomazać cudzą krzywdą? Że tej ubogiej gromadzie radbym zapewnić szczęście? Nie przeczę, z wielu twardych skorup należy obrać te prostacze natury, zanim się dobędzie z nich szlachetne jądro; ale to nie są tak zwyrodniałe płonki pnia ludzkiego, ażeby na nich szlachetniejszych popędów szczepić nie można.

Morski.

Szczepić! To niech pan założy instytut wychowawczy a nie fabrykę papieru!

Wiszar.

Fabryka nasza będzie jednocześnie instytutem wychowawczym.

Morski.

To nie omyłka, to ciężka wina wszystkich marzycieli, którzy zamiast sposobami praktycznymi czynić dobrze, niepraktycznymi czynią źle. Kto chce być przemysłowcem, musi być przemysłowcem a nie poetą. Tą drogą doprowadzisz pan siebie do nędzy a ich do zepsucia. Gdybyś pan na wypadek zawodu odłożył sobie połowę mienia, albo gdybym ja był dość bogaty, ażeby was z toni wyciągnąć — nie opierałbym się tej grze szalonej; ale pan w nią wrzucasz prawie wszystko, co oboje posiadacie...

Wiszar.

Wielka idea warta tak małej ofiary.

Morski.

Ale wielka idea nieumiejętnie i nie w porę urzeczywistniona może się stać wielkim błędem. Chociaż jestem stary i język teraźniejszości nie zawsze rozumiem, uznaję konieczność staranniejszej niż dotychczas opieki nad robotnikami. Jeśli wszakże w ustroju pracy fabrycznej ma nastąpić przełom trwały, powinien być ogólny lub przynajmniej bardzo szeroki, żeby w rozległym zakresie wyrównały się warunki przedsiębiorstw przemysłowych. Jednostkowa, odosobniona zmiana celu nie osiągnie, owszem mu zaszkodzi, bo dostarczy odstraszającego przykładu.

Wiszar.

Od jednostkowych usiłowań zaczynają się reformy zbiorowe.

Morski.

Chcesz pan koniecznie leżeć na samem dnie przepaści, którą przyszłość długo ciałami ofiar postępu zasypywać będzie — nie trzymam, ale ja panu do tego karkołomne-

i doświadczenia wytłomaczyć można zgodę, jaka dziś między naukami historycznemi a pozytywnemi nastała. Zamiast dawnej dedukcyi, teraz panuje indukcya, genetyczność, postępowanie od zaczątków, objawów prostych, do zjawisk i form złożonych. Zapanował punkt widzenia ewolucyjny i oto umiejętność prawa łączy się z antropologią, a całą mądrość społeczną przenika pojęcie rozwoju, organiczności, harmonii, by między innemi i ekonomię polityczną odrodzić.

Tu Moleschott składa pokłon sztandarowi czasu — kwestyi socyalnej i w jej imieniu, nie zupełnie do tego upoważniony, dziękuje naukom przyrodniczym za rozmaite, istotne i urojone dary. Cieszy się z wydoskonalenia maszyn, one bowiem, zmniejszając sumę pracy muskularnej, wskutek prawa zachowania siły, potęgują robotę ducha. Nie wiem, czy np. Mill przy całej swej wstrzemięźliwości od utopij, zdanie to przeczytałby bez ironicznego uśmiechu... Galvani i Volta, krcowani zostali na wielkich wychowawców; telegrafy bowiem i telefony, ułatwiając szybką bardzo wymianę myśli, zmuszają jednocześnie do pośpiechu w procesach woli; dodają jej skrzydeł, gdy poprzednio namysł zbyt długi psuł często szlachetne porywy, stanowczość paraliżował itd. Do licha, jeśli tak jest rzeczywiście, to trzeba mieć nadzieję, że liczba głupstw, popełnianych w gorączce, będzie przerażająco... wzrastać.

W końcu Maleschott raz jeszcze łączy wszystkie nauki uściskiem antropologii, którą jednak jest tylko przebrana filozofia. „Antropologia bada naturę człowieka, jego prawa, błędy, jego poczyę, jego ideał.“ Tym ideałem — harmonijny rozwój rodzaju, ogarniający wszystkie czynniki moralne. Ugruntowana wiara w przerództwo siły i formy krzepić powinna otuchą, że ideał człowieka doskonalić się będzie bez kresu— naprzekór wszelkim krakaniom złowróżbnym pesymizmu.

N. Hirszband.

---

go skoku nie pomogę. Jeszcze raz błagam, nie kładź się pan na ostrych nożach, nie ściel sobie zatlonej hubki, zawierz moim przestrogom. Daj pan codziennie każdemu robotnikowi koszyk truskawek, posrebrzaj mu wąsy i pozłacaj paznokcie, pieść ich i zbytkiem otaczaj, ale nie zawieraj z nimi współki.

Wiszar.

Poczciwy panie Morski, ufam ci, wierzę w twoją życzliwość, choćbyś wszakże pokonał we mnie wszystkie upory, nie pokonasz jednego: uległości dla mojej żony. Ona tego pragnie, bardzo pragnie... Jestem w Europie przybyszem świeżym, może w pojmowaniu jej stosunków życia praktycznego się mylę, może chwytając złudną marę wpadnę w otchłań, ale nic mnie nie zdoła odciągnąć od spełnienia życzeń Reginy. Gdybyś pan wiedział, czem ona jest dla mnie, gdybyś odważył, ile w mojej woli jej woli się mieści, gdybyś odczuł, jak życie tracę, gdy jej dusza moją opuszcza — nie namawiałbyś mnie dłużej. Panie drogi, ja ją kocham bardziej, niż święci niebo, niż rośliny ziemię, ona mi potrzebniejsza do istnienia, niż światło oku, niż dźwięk uchu. Przekonaj ją — przekonasz mnie (*idzie ku drzwiom sąsiedniego pokoju*). Regino! Niech ona nas rozsądzi. (*Regina wchodzi*).

(D. c. n.).

ODCZYTY NA OSADY ROLNE.

I.

Okres zimy poważniejszy, w którym energia z nóg przenosi się nieco w stronę głowy, rozpoczęły prelekcye d-ra Fabiana o „hypnotyzmie w teoryi i praktyce.“ Mówca przed dosyć liczną (z zimna trzęsącą się) publicznością rozwinął w pierwszej części szkic psychologii w dzisiejszym jej stanie, widocznie w celu oparcia wykładu właściwego na gruncie szerszym. Dotknął spraw tak wstępnych jak stosunek ducha do materyi, który sformułował w duchu współczesnych poglądów francuzkich i angielskich, popieranych przez Spencera, Bain'a i Ribota. Odrzuca też dawniejszą, spekulatywną metodę badania, korząc się natomiast przed faktami, w których widzi jedyne niepodejrzane źródło poznania. Podkreślił rolę czynności życiowych w wyjawach ducha, zatrzymując się na fizyologii mózgu, nerwów i ich ośrodków — przyczem jednak strzegł się na wzór jednostronnego dogmatyzmu utożsamiać całkiem funkcye fizyologiczne ze zjawiskami świadomości. To znaczy, iż wierzy w rozszczepialność ducha i głęboką jego zawisłość od ustroju fizycznego, wierzy, iż upośledzenie, ubezwładnienie lub brak pewnych części mózgu powoduje szczerby psychiczne, jak to np. ma miejsce pod wpływem jadów (curare), wierzy w niezawisłość czynnościową obu półkul mózgowia — ale uznaje jeszcze hasło Du Bois Reymonda: *ignorabimus*, gdy chodzi o to, jak siły organiczne przechodzą w procesy duchowe, i tym podobne zagadnienia.

Dalej szedł rozwój świadomości; prelegent i w tej mierze snać opiera się na nowszej empiryce. Widzi jedno z głównych źródeł wiedzy naszej w wrażeniach zmysłowych, które utrwalone i odtworzone samorzutnie, stają się wyobrażeniami. Kojarzenie zaś jednych jak drugich ma pierwszorzędną wagę dla myślenia, jako podwalina pamięci i zdolności przypominania. Zdolność owa polega na tem, iż afekty jednorodne wzajem się wskrzeszają; cecha przedmiotu jednego wywołuje z przeszłości pokrewną cechę innego znanego już przedmiotu. Duch rozbudzony należycie rośnie w energię, lepiej wchłania w siebie świat zewnętrzny i dobiera sobie materyał dla myśli i uczucia; najwyższą zaś syntezą jego jest *jaźń*, poczucie osobowości. To właśnie poczucie swego *ja* jest dla natury ducha bardzo znamienne a jego zakłócenia — bardzo pouczające. Nauka o obłędach i wogóle całe lecznictwo nerwów rzucają dużo światła na istotę ducha; są często czynnymi kluczami, a w ich liczbie poczesne miejsce zajmuje też sen hypnotyczny, dziś już zwolniony z cudownych osłonek i zajmujący poważne w psychologii miejsce. Zapewne by zawczasu ułatwić słuchaczom zrozumienie hypnozy i typowych jej objawów, mówca prawił dłużej o stanach świadomości i nieświadomości, na które życie psychiczne się rozpada, o śnie i widziadłach sennych, o odruchach, czyli ruchach zwrotnych, wreszcie o mowie, która stanowi nietylko wytwór dźwiękowy ale i wyraz zgęszczony, skupiony całych szeregów pojęć i wrażeń.

Odczyt ten łączył w sobie wiele rzeczy dobrych, ale jaknajmniej był odczytem. Ujawnił w autorze psychologa zamiłowanego i spoufalonego z obecnym stanem nauki, na którą patrzyć umie nietylko przez szkła doświadczeń ale i filozofii — ale kulał ogromnie pod względem przystępności i ładu w opracowaniu. Był to istny chaos faktów i nazwisk. Przytem nadto wstecz cofnięto się po wstęp, bo aż do granic metafizyki, czyli do jajka. Niepodobna skreślić całej gałęzi psychologii w półtoragodzinnej pogadance bez szkody dla audytoryum. Nawet więc nie pomógł język kwiecisty i deklamacyami upstrzony, gdyż naładowany był terminami, obcymi dla średnio wykształconych (dezintegracya, innerwacya, monadyzm, neuropatologia itp.).

Drugi odczyt cokolwiek nas rozczarował. Zawierał wykład samego hypnotyzmu, jego określenia, objawy znamienne—tylko w tej mierze, w jakiej oddawna już nawet naszej publiczności jest znanym. Nie wspominam więc o sposobach usypiania, o indywidualnych różnicach wrażliwości, o znaczeniu napięcia uwagi przez medyum i jego dobrej woli. Rzeczy dobrze znane, jeno ujęte w następujący mniej więcej szyk: Jednocześnie z poszukiwaniami nad istotą hypnozy kroczy badanie nad jej stosunkiem do stanów chorobliwych aparatu nerwowego.

Pierwszy kierunek zbogacił naukę całym skarbem spostrzeżeń; pokazał wpływ hypnozy na ruch, jego pobudzanie i tamowanie, ujawniające się u osobnika naśladownictwem i wykonywaniem automatycznem, bezwłasnowolnem, najcudaczniejszych figur, a także całkowitą lub częściową niewysłownością itp. zjawiskami (afazya, agrafia itp.). Tu mówca zaznaczył niemożność hypnotyzowania podczas snu. Bogaty szereg eksperymentów daje działanie na zmysły, ich stępianie i zaostrzanie niezmierne; prawo energii specyficznej nie pozwala wierzyć w przemieszczanie zmysłów, np. by można było widzieć palcem, jak kazałyby mniemać pewne doświadczenia. Prelegent wolałby już raczej własną hypotezę, że w stanie hypnozy przedmioty wywierają na medyum wrażenia nadprogramowe, w stanie normalnym niedostępne, podobnie jak niektóre części promienia rozszczepionego dla oka są niedostępne, a dają się wykryć chemicznie lub elektrycznie. W tej też części rozpatrzono względność, podatność i oporność każdego zmysłu na hypnozę. Wreszcie ostatnią gałąź objawów stanowi właściwe wmawianie myślnie i wytwarzane przezeń złudzenia i błędy.

Doktryny, któraby poważnie objaśniała przyczyny fizyologiczne i zmiany fizyologiczne hypnozie towarzyszące, nauka jeszcze nie stworzyła. Czyli że przed istotą tej nad wyraz ciekawej dziedziny stoi jeszcze znak zapytania. Tyle o teoryi.

Strona praktyczna przedmiotu nastręczyła mówcy trojakie uwagi: dotyczące odpowiedzialności sądowej za przestępstwa w hypnozie spełnione; dotyczące wychowania i wreszcie sztuki leczniczej. Co do pierwszych dwóch — napomknąć wypada, że są wiernem echem odnośnych roztrząsań w literaturze francuzkiej (Gille de la Tourette, Beaunis i inni). Zgodnie z niemi, dr Fabian w kwestyach wykroczeń żąda ekspertyzy lekarskiej, a w rzeczach pedagogiki nie pisze się (zupełnie jak na posiedzeniu towarzystwa w Nantes) zbyt chętnie na przemoc cudzej woli dla umoralniania znarowionych dzieci. (Gawędy filozoficzne czytelników *Prawdy* z wywodami podobnymi obznajmiły).

Punkt ciężkości odczytu przypadł na stosowanie hypnozy do lecznictwa. Była to w szatę powagi ubrana, bezadresowa polemika z Ochorowiczem i zawierała przestrogi oraz nawoływania do krytycyzmu, które również łatwo można przypiąć do odczytu „o palmach“ jak i „o hypnotyzmie.“ Niegładka dotąd mowa, tu poplynęła wymowną strugą — pod wpływem podrażnienia przez d-ra O. ambicyi lekarskiej. Czuć było filipikę, która nie wadziłaby może i w istocie słuchaczów trzeźwiej dla nowatorstwa Ochorowicza usposobiła, gdyby była zbrojna w jakiekolwiek *fakta*. I myśmy nie klękali przed autorem dzieła *De la suggestion mentale* i protest w imię samej logiki i metodologii — zasadniczych prawodawców wszelkiej nauki — zakładali, ale Ochorowicz zbiera i gromadzi fakta, a dr. Fabian grzmi *golemi słowy*. Dlaczegóż pierwszego odczytu, prawie bezpożytecznego dla słuchaczów, nie zapełnił raczej *argumentami*

przeciw hypotezom przeciwnika? A tak zamęt w głowach niepoświęconych tylko wzrasta.

Za to prawdziwą uciechę mieli lekarze— bo też prelekcya wyglądała jak *mandat* poselski szanownych eskulapów.

N. H.

LITERATURA I SZTUKA.

DWIE PLAGI.

I.

Mógłbym zacząć słowami Pisma świętego: „Rozmnoży na podziw Pan plagi twoje, i plagi nasienia twego, plagi wielkie i trwałe, także choroby złe i długie.“ Ale doprawdy, nie odrazu przybrać można minę tragiczną wobec wieloaktowej arlekinady, o której chcę mówić.

A mówić chciałem już dawno o niej; domagano się, zachęcano, ośmielano, ale babranina w błocie nie nęciła! Zresztą pocieszałem się wróżbą: że tak długo trwać nie może.

Naraz *Światła i cienie* *) fatalny klam różowemu złudzeniu zadały. Na biedną sprawozdawcy głowę ordynarniejszy od Ksantypy los wylał szeroki potok wypłóczyn, w których znaleźć można wszelkie rodzaje śmiecia umysłowego.

Czytujecie może od czasu do czasu rubrykę wypadków w pismach codziennych. Redakcye ukrywają ją pod niedostrzegalnymi czcionkami, milczkiem przyznając, że bójka pijaków w szynkowni, okaleczenie konia lub nieludzkie obejście się łapacza psów z ofiarą, zapalenie się sukni na śpiącej u pieca baby lub podrzucenie dziecka nawet do zajmujących wiadomości nie należą i są notowane tylko z obowiązku kronikarskiego. *Światła i cienie* na ten sposób postępowania się nie zgadzają. Wszelkie wypadki uliczne — wolać się zdają — mogą służyć za tematy dla noweli.

I słowo stało się ciałem. Kto bierze udział w tem przywracaniu czci i godności literackiej zapiskom policyjnym, jacy autorowie do dzieła tego przyłożyli rękę — wyliczać nie warto. Jest tam nazwisk kupa bardzo odległych — tak odległych, że jechać trzeba po nie aż... pod ciemną gwiazdę literatury, ale co gorsza nie brak tam i imion zaszczytnie ogółowi znanych; tych wyliczać nie można, bo *nomina sunt odiosa*.

Niechaj podznaczę tylko celniejsze wątki i pomysły.

Pewna stara panna ma kota; sąsiadka jej—kocicę; sąsiadujący w ten sposób przedstawiciele drapieżnego rodu poznają się z sobą, zapalają afektem miłosnym i schodzą w marcowy wieczór na dachu kamienicy, by przy wtórowaniu miauczenia odbyć swoją serenadę. To motyw główny — ubocznymi zaś są: wzajemne obwąchiwanie się, pocieranie nosów i tym podobne akcye przedwstępne, intermezzo stanowią łowy na myszy, ich chwytanie i pożeranie, a wszystko opowiedziane z przedziwną plastyką. Nie radzę jednak nikomu wczytywać się w tę epopeę—bez pomocy flakona wody kolońskiej...

Albo: Wyrodna matka przybiega pod figurę Bogarodzicy i u stóp posągu porzuca własne niemowlę. Tu przedmiot jest przynajmniej świeży — nieprawdaż?

Idę dalej. Piękna mamunia ma brzydką córeczkę, która świadoma swego upośledzenia i kontrastu, jaki tworzy z rodzicielką, ociąga się z przyjściem na bal wyprawiany w domu. Rozdrażniona bóstwo wyprawiany i niesprawiedliwym gniewem dziecko dostaje dreszczów, idzie ogrzać się u kominka — sukienkę chwyta płomień, powstaje krzyk i hałas a raut do skutku nie przychodzi.

Na tem nie koniec. O, bo *Światła i cienie* to istna puszka Pandory!

Stary emeryt uczy kosy i słowiki różnych melodyj za pomocą pozytywki, której korbą obraca jego wnuk. Malca to nudzi, woli on pisać poezye — mając lat trzynaście. Gdy spostrzegł to zaniedbanie się w obowiązkach grajka dziadek, rękopisy rzucił w ogień. Podrażniony wieszcz z żółtą chorągiewką— mści się za obelgę, psuje instrument a ptakom łebki ukręca; przyczem spada z okna i rozbija głowę, odpokutowując winę swą kilkomiesięczną chorobą i... śmiercią dziadka. Ten bowiem nie przeżył skrzydlatych swych śpiewaków.

Dwa razy czytałem ten utwór i żałowałem, że nie mam szczęścia znać autora, bo korcą mię aż dwa pytania: „czy naprawdę *Pan* to pisał?“ i „czy Pan to *naprawdę* pisał?“

Już nie pytajniki, ale cały szereg wykrzykników mógłby postawić najpobłażliwszy czytelnik przed następującą bajką: W pięknej pannie „śmietankowego“ domu kocha się „śmietankowy“ jakiś pan i kilkakrotnie dostaje odkosza. Szczęśliwszym jest inny młodzian w niej zakochany — ale ten ma żonę. Gdy los tę maleńką przeszkodę usunął mu z drogi, piękna panna nie kwapi się wcale z oddaniem wdowcowi ręki, albowiem nie chce ściągnąć na jego głowę romantycznych bredni, a chce, żeby „wszyscy w duszy klękali przed obrazem jego.“ Pomimo to jednak radzi mu i niemal żąda, ażeby się ożenił powtórnie, choć go sama po dawnemu kocha. Doprawdy, mniemam, że miałyby prawo obrazić się gruszki, pietruszki i cebule, że tak ludzie poniewierają przysłowiem, w którem są bohaterami.

Ale jestem bliski kwiatu, który w tej wiązance trzyma prym. Opiewa on losy „pracownika pióra“ językiem kuryerkowych rapsodów:

„Marzoną sławę zyskał i przekonał się,
iż ona nader jest chwiejną.
To go jednak nie zrażało!
Postanowił z upadku podźwignąć się!
Jak pracować by miłe hołdy zyskać?
Został reporterem.

Koledzy zazdrościli mu sprytu,
Ale to nie dawało dostatecznego dochodu.
W domu bieda była okropna,
Nie miał na pogrzeb!
Ze składek takowy urządzono!
Z rozpaczy począł pić—gdy w domu dzieci głód cierpiały.
Co miał robić?“ itd.

Ja bym sądził, że bardzo dobrze uczynił. Niech idzie złoto do złota! Jest pewien gatunek literatów, których największą zasługą byłoby przenieść działalność swą z pola pisarskiego na jakiekolwiek inne —byleby inne. Bo to chyba jedyny sposób uprzątnięcia stajni Augiaszowej, w dobie, kiedy już Herkulesów ziemia nie wydaje.

A taką stajnią zaiste stała się rzeczpospolita naszej noweli. *Światła i cienie* i tym podobne zbiorki to tylko jeden niewielki znamienny jej zakącik, po za którym kraina bredni i zuchwalstwa autorskiego nie ma granic. Niedawno ktoś palnął strzelisty hymn na cześć noweli naszej; wykazał jej potęgę twórczą i płakał łzami szczęścia, że spełnia ona tak doniosłe a tak artystyczne znaczenie. Korzę się przed świętą prawdą pierwszej z tych własności: ten rodzaj opowiadań jest w istocie potężny, jak moralna zaraza, jak obłęd opanowujący pielgrzymów na drodze do Lourdes — ale jakże cudowną trzeba mieć organizacyę, żeby z powodu narodzin całego pokolenia niedowarzonych, bezklepkowych pismaków śpiewać *Mesyady*. Nawet kraj, dobrą krytyką tu niecelujący — Niemcy, umieją rozróżniać twórczość istotną od gryzmolenia niemowląt lub półgłówków. Bracia Schwattau w swoim *Schwabenstreichu*, wyśmiewają czasopismo *Wonne listki*, którego założeniem jest dawać gościnność niepoznanym talentom i przynęcać w ten sposób wszystkich mogących suto opłacić manię figurowania „w gazecie.“ Czyżby u nas mógł krążyć podobny przytułek dla odtrąconych wielkości? Gdyby nawet opłat nie pobierał i pułapką na łatwowiernych nie był — z pewnością *nie*. Albowiem cała prasa niemal bez wyjątku wyciąga opiekuńcze skrzydło nad wszystkimi, komu do głowy przyjdzie pisać nowele — a prasa codzienna w tej wspaniałej tolerancyi trzyma palmę pierwszeństwa.

Do pysznych wyników doszedłby ten, coby zestawić chciał statystykę twórczości nowelistycznej ze statystyką oświaty. Okazałoby się, że cyfry pierwszej przynajmniej w dwójnasób przewyższają liczbę jednostek ze średniem wykształceniem. I to jest bardzo naturalne. Posiadać jakikolwiek census umysłowy w tym razie — to przesąd. Z redakcyi *Prawdy* wynoszą się kosze nowel, zdradzających brak nawet elementarnego wykształcenia. Ot, ktoś zasłyszał, że nowela to „krótka powieść“ i nuże w te ślady. Jeśliś ty zwięzły — ja potrafię być jeszcze zwięźlejszy. Napisałeś dwadzieścia stronic — ja ci pokażę, że można zrobić nowelkę z dwudziestu wierszy! To nie żart — mój czytelniku — przyjdź jeno, a zadziwię oczy twoje całym stosem powodów namacalnych. Jednocześnie przekonasz się, że w odpowiedziach prywatnych, o które molestują aspiranci do stanu powieściopisarskiego — o czemuż raczej nie zwiększają chórów papiezkich! — niema już wcale wzmianki o talencie, „uzdolnieniu odpowiedniem,“ „zręczności,“ a mowa tylko o błędach pisowni i gwałceniu — dlaczego niestety bezkarnem — naczelnych prawideł stylu. Bo i któż będzie domagał się fiołkowej woni tam, gdzie nie stać nawet na zwyczajne bezwonne powietrze? A w nagrodę za to, w tydzień później obaczysz odpalonego kochanka muzy — pawiem, roztaczającym pysznie swój ogon w osobnej odbitce, lub jednym z dzienników. A u spodu wzrok twój napotka często głośne z ograniczoności i głupoty w świecie towarzyskim nazwiska, przybrane w fantastyczne przyłbice: *Omega*, *Lucyper*, *Grzechota*, *Smarosz*, *dr. Cymbalier z Radomia*, *Jeremiasz z Wiślicy* i jeszcze kilkaset panów i pań z... *Oślicy*, słowem ci wszyscy, o których zbyt pochlebnie byłoby powiedzieć, co Heine o Atta Trollu:

> Manchmal auch gestunken habend
> Kein Talent, doch ein Charakter!..

Znakomity prawnik niemiecki Ihering, pragnąc osłabić płodność doktorantów, którzy rozprawami swemi zalewają księgarnie, radził, ażeby wstrzymywać ich publikacye na lat pięć — był pewny, że po takim przeciągu czasu autorowie sami duchowych swych dzieci się wyrzekną—u nas w taki postęp samowiedzy wierzyć niepodobna; gdybyż więc można chociażby nowelistykę obłożyć filantropijnym podatkiem (dajmy na to, na budujący się zakład w Tworkach). Przy skali najdrobniejszej sumy osiągnęłyby olbrzymie, a może prócz tego i rynek literacki uwolniłby się od szarańczy.

Innych na nią straszydeł w bliskiej perspektywie przewidzieć niepodobna. Złożyło się na nią dużo przyczyn. Jakich? — o tem później. Tymczasem niech mi wolno będzie rzucić klątwę... Francyi.

Nie inaczej! Ona to nie wpływając rozumie się na liczbę, działa fatalnie na rodzaj twórczości. Świętoszki naszego społeczeństwa w szlachetnej zgrozie plwają na realizm i naturalizm, jednak — rzecz ciekawa, komu zawdzięczać ma literatura polska powieściowe rozmazywanie momentów psychologicznych i fizyologicznych, które dla nikogo interesu przedstawiać nie mogą. Co kogo obchodzi, że mi zakręciło w nosie, ugryzła pchła, żem zgubił pantofel lub

*) Warszawa, 1888.

zmienił koszulę, że psy moje romansują z sobą, a reporter leży pod ławą knajpy? I toż są tematy do nowel! Jeśli tak, to najniedorzeczniejsze wysiłki jałowej z gruntu wyobraźni, w rodzaju kochanki, która, by chorego na zadawnioną chrypkę kochanka wyleczyć, własnem samobójstwem wydobywa z gardła jego krzyk; w rodzaju dziewczyny, która chcąc a bojąc się powierzyć swe wdzięki nocującemu u niej po raz pierwszy młodzieńcowi, usypia go, a potem zaczadza z sobą razem: są perłami poetyckiej wynalazczości.

Lecz tu nie o pruderyę chodzi. Muzyka ma swoje „moments lyriques,“ ma je powieść francuzka, ale czy odtwarza je Zola, czy Guy de Maupassant, Huysman czy Catulle Mendez, czy są przyzwoite, czy pornograficzne — zawierają przedewszystkiem myśl, ukrytą ironię, sarkazm, a w razie najgorszym świetną plastykę, podnoszącą pióro do godności pędzla. Nawet najniecnotliwsze posiadają urok, rozpraszają dokoła dziwną woń, podniecającą może jak atmosfera buduaru, ale ponętną. „Momenty psychologiczne“ naszej literatury są przedewszystkiem w kłótni z logiką, że nie mówię już o innych wymaganiach. Wyraz *małpować* zbyt słabo określa ten rodzaj stosunku do wzorów francuzkich — zazwyczaj obrzucanych błotem — który u nas nazywają „naśladownictwem.“ Doprawdy, trzeba podziwiać Bolesława Prusa, Orzeszkową, Sienkiewicza, Konopnicką i im podobnych, że nie zrywają z powieścią i nowelą, hańbioną i poniewieraną przez wszystkich, mających wolny czas i stosunki w kołach literackich.

Ale czas już wielki zajrzeć w oczy drugiej pladze. Faraon miał ich dziesięć przecież!

Miserere mei Domine!

Cezary Jellenta.

TEATR.

Zygmunt Przybylski: *Państwo Wackowie*, komedya w 4 aktach.

Publiczność nasza najwięcej smakuje w wesołych, bez domieszki poważniejszych pierwiastków, sztukach. *Wicek i Wacek* byli oklaskiwani siarczyście i do dnia dzisiejszego cieszą się niemałem powodzeniem. Co jednak powiedzieć można o dalszym ciągu pociesznej owej komedyi, jeżeli już na trzeciem jej przedstawieniu krzesła w trzeciej części, a loże w połowie świecą pustkami?

Bo też *Państwo Wackowie* mocą tylko silnej i dobrze ugruntowanej wiary w przychylność ogółu nazwać było można komedyą. Jest to zaledwie fraszka sceniczna, której całkiem brak osi i wewnętrznego jakiegoś spoidła. Ot poprostu kilka dni z życia bohaterów przypuszczalnej trylogii. Wacek ma ładną żonkę i synalka, na szczęście niewidzialnego i niesłyszalnego dla widzów i słuchaczów, a Wicek ucieka z domu przed swatami i własnym ojcem, którzy nalegają, by się żenił z jakąś ospowatą dziewczyną — chroni się u brata i z nim razem pędzi na jarmark do Łowicza, by odświeżyć wspomnienia dawnych birbantek. Stąd już banalny temat dla całego aktu: pijatyka, toasty w kółku sąsiedzkiem itp. nowalie. Pani Wackowa rozwścieczona postępkiem męża, który się z nią nie pożegnał i pozwolenia nie wyżebrał, puszcza się za zbiegiem w towarzystwie teścia i przydybuje ich w najbardziej krytycznej chwili, gdy mężuś już na nogach ustać nie może. Potem naturalnie dąsy, kwasy, groźby powrotu do domu rodzicielskiego; skrucha winowajcy i przebaczenie, przypieczętowane ognistym całusami i wycieczka, zdaje się, do sypialni. Z kolei Wicek rozpromienia się miłością — dla panny Zabawnickiej i otrzymujo jej rękę. Na tem koniec — albo raczej wstęp prawdopodobny do trzeciej „komedyi,“ gdzie możnaby oczekiwać pysznego *changement des dames*, gdyby nie duch obu sztuk poczciwy, dobroduszny, pełen miłości małżeńskiej, synowskiej i rodzicielskiej.

Humoru w tej zabawce nie brak; jest on jednak gatunku dosyć pospolitego i składa się z bardzo zwykłych ingredyencyj, widocznych już z osnowy sztuki, do czego przypięto dla ostatecznego zepsucia jedności romans starej rezydentki z ekonomem. Jest to słowem kartka z domowego i sąsiedzkiego życia drobniejszej szlachty, ubarwiona mocno szarżowanym dowcipem, ale i nie wolna od zręczności i poetycznego powabu w konkurach i oświadczynach Wicka.

Role męzkie przypadły po dawnemu: pp. Ostrowskiemu, Szymanowskiemu i Wolskiemu, którzy grali z całą werwą, przez układ sztuki wymaganą. Ojcem Zabawnickim był p. Sikorski, coraz więcej przekonywający, iż posiada talent; rzadko kto potrafi tak naturalnie, jak on, odtwarzać komizm. Panna Czaki jako Wackowa, jest bardzo przyjemną i swobodną. Panna Snażanka (urocza sąsiadka moja) wyglądała ślicznie, jak prawdziwa Wiochna, i z dużym wdziękiem słuchała wyznań miłosnych Wicka.

Ale, ale! W jakiej to epoce akcya się rozgrywa? Figury bo tam ogromnie mieszanego stylu; większość jak gdyby wzorowana na rysunkach Kostrzewskiego z przed lat czterdziestu, a tu i owdzie stroje zupełnie współczesne i świeże. Autor już zbyt à la *Kuryer świąteczny* rysuje typy szlagonów.

J.

St. hr. Rzewuski: *Cudze dzieci*, komedya w 3 aktach.

W dziedzinie dramatu naszego rysuje się w ostatnim czasie kierunek, który lubo dotąd nie wydał jeszcze świetnych literackich plonów, obudzić jednak zdołał namiętne spory. Wyraża on się w pesymistycznem obrazowaniu ujemnych stron życia i jego objawów, w jaskrawem uwydatnianiu i wysuwaniu na plan pierwszy chorobliwych zboczeń natury ludzkiej.

P. St. Rzewuski zalicza się do przedstawicieli tego kierunku. Wszystkie dotychczasowe utwory młodego autora, których znaczna część doczekała się już przedstawień na scenach polskich i ruskich, posiadają ten charakter. Ta pogoń za oryginalnością i nieprzeparta chęć poruszenia i wyzyskania wątków zupełnie nowych, uwidoczniły się szczególnie w najnowszej komedyi p. Rzewuskiego *Cudze dzieci*, wystawionej po raz pierwszy na scenie krakowskiej w dniu 18 b. m.

Jest to nader wyjątkowy objaw w dziedzinie twórczości dramatycznej. Hr. Henryk Osiecki, znakomity uczony i historyk z obozu pozytywistów warszawskich, pokochał niezamożną szlachciankę. Ludwika, lubo mu wzajemna, zmuszoną została okolicznościami wyjść za przyrodniego brata jego, hr. Daniela, człowieka moralnie i fizycznie spróchniałego, którego całą zaletą był majątek. Dzieci z tego małżeństwa kolejno umierają na skrofuły. Ostatnią córeczkę w stanie konania przywożą rodzice do miejsca leczniczego. Zrozpaczony hr. Daniel pół majątku pragnie poświęcić, byle ocalić ostatnią rodu swego latorośl, gdyż wie, że śmierć tego dziecka rozłączyłaby go z żoną, którą kocha, a z którą łączy go dziś już tylko to ostatnie pękające ogniwo. Do tych samych wód i w takimże samym celu sprowadza przypadek brata jego Henryka, żyjącego z damą paryskiego półświatka, namiętnie doń przywiązaną; ta wyrzekłszy się swej przeszłości, poświęciła się cała jego szczęściu i miłości jedynego dziecięcia Stefanka, które przybrany ojciec pokochał jak własne. Niespodziane spotkanie się dawnych kochanków rozdmuchuje spopielałe resztki uczuć. Gdy konsylium lekarskie wydaje wyrok śmierci na ukochane dziecko Ludwiki, Henryk wyznaje jej swą miłość. W walce serca z obowiązkiem oszołomiona kobieta nie wie, co począć; gorycz losu i brzemię nieszczęścia, spowodowane pożyciem z wstrętnym człowiekiem, zbyt dały jej się uczuć, aby mogła nie zapragnąć zmiany. To też w chwili gdy mąż, mszcząc się za jej wyznanie miłości dla Henryka, oznajmia jej wynik narady lekarzy nad dzieckiem, Ludwika, widząc, że już nic ją nie wiąże z mężem, rzuca się w objęcia kochanka. Wtedy Daniel podsuwa mu paszkwil wydrukowany na niego w jakimś *Gońcu nadwiślańskim* a dotyczący stosunku jego z Heleną. Z paszkwilu tego dowiaduje się Henryk, że Helena, pragnąc go ratować w chorobie, gdy środków brakło, udała się o pomoc do jednego z swych dawnych wielbicieli. Oburzony wypędza Helenę z dzieckiem i przyjmuje do siebie Ludwikę. Tymczasem nadbiega Daniel i oznajmia Ludwice, że dziecko ich uratowane wbrew przypuszczeniom lekarzy — ale że jej do niego już nie dopuści. W tej stanowczej chwili uczucie macierzyńskie wybuchnęło całą siłą i przeważyło szalę na stronę obowiązku — Ludwika wraca do męża a Henryk do Heleny.

W całej naszej dramatycznej literaturze nie znajdziesz sztuki, którąby zawierała tyle niekonsekwencyj, tyle nieprawdopodobieństw, tyle sprzeczności, co utwór p. Rzewuskiego. Jest to trudna do określenia mieszanina doktrynerstwa i źle użytej tendencyi, zdradzająca miejscami wpływ Dumasa z domieszkami dramatu ruskiego.

Oryginalny temat spaczony został mdłą i nieudolną robotą sceniczną, której honor ratuje jedynie kilka barwnie i jędrnie skreślonych ustępów. Scena narady lekarzów należy do najudatniejszych. Brak w *Cudzych dzieciach* przedewszystkiem z góry obmyślanego i logicznie przeprowadzonego planu. Niewiążące się z sobą sceny zdają się być kawałami powyrywane z jakiejś odrębnej całości i w niewłaściwym porządku obok siebie ugrupowane. Brak dalej przedmiotowego rysunku charakterów w odniesieniu do nici przewodniej a całość sprawia wrażenie roboty doryweczej umysłu niezdecydowanego.

Określenie myśli komedyi p. Rzewuskiego stawia nas w najkłopotliwszem położeniu. Mimo nader jaskrawego tła bowiem, mimo zbyt może dobitnie zaznaczonej tendencyi trudno przypuścić, aby kwestya doboru zdrowych organizmów do małżeństwa była ostatecznym celem autora, a ta jedynie myśl zdaje się stanowić jądro filozoficzno-społecznych wywodów p. Rzewuskiego.

Wykonanie sztuki na scenie krakowskiej przyczyniło się niemało do uratowania honoru komedyi jako dzieła scenicznego. Artyści z zadania swego wywiązali się bez zarzutu a główne role Ludwiki i Henryka przez p. Kałużyńską i p. Rygiera odtworzone były artystycznie.

Reżyseryi teatru krakowskiego czyniono liczne zarzuty, że komedyę p. Rzewuskiego wystawiła. Zarzut to chyba niewłaściwy. Scena, która nie chce być areną bawidełek, ma obowiązek także zrobić czasem ustępstwo dla utworów będących odziedziczeniem chwili i prądów nurtujących społeczeństwo. Pesymizm coraz więcej dziś odbijający się w życiu ma także prawo bytu na scenie a choć utwór p. Rzewuskiego nie sprawił dodatniego wrażenia, to jednak, bądź co bądź, podsunął temat do poważniejszych rozmyślań.

W. P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wzrost mojej marki. — Jej urągliwe spojrzenia i ostateczne wydęcie. — Do czego dojdzie. — Spadek rubla i rozkład jego wagi. — Ciężar kresów. — Owoc cykuty. — Spóźniony wierszyk. — August Zawisza. — Pożegnanie. — Nowa oszczędność kolei Nadwiślańskiej. — Śmiała obrona jej systemu. — Kilka pytań. — Czy człowiek może być przekonanym. — Wypadek w bóżnicy.

W szufladzie mojego biurka leży od lat wielu pruska marka. Została mi ona kiedyś z podróży zagranicznej. O ile sobie przypominam, zapłaciłem za nią wtedy trzydzieści kilka kopiejek. Codziennie prawie, wysunąwszy szufladę, widziałem ten srebrny krążek, który zdawał się do mnie mówić:

— Prusy urosły i ja urosnę — zobaczysz!

— Milcz — odpowiadałem — ty z cudzej krzywdy wykuta blaszko, twoje Prusy skurczą się jak przekłuty bąbel, a ty zejdziesz do szeląga.

Tymczasem kursa giełdowe podnosiły ciągle wartość marki, która uśmiechała się do mnie coraz zuchwalej. Zdawało mi się, że ona rozszerza swój obwód, rośnie. Nareszcie podczas wojny rusko-tureckiej rozdęła się do wielkości półrublowej i urągała mi tak bezczelnie, że odwracałem od niej wzrok.

— Schudniesz — myślałem — niedługo ty zbogacona dwuzłotko.

Rzeczywiście schudła, ale wkrótce znowu utyła. Poczem przyzwyczaiłem się do jej szyderskiej i dorobkiewiczowskiej miny, aż znowu zeszłego roku zaczęła tak szybko pęcznieć, że ledwie mogłem uwierzyć własnym oczom. Co się z nią dzieje w miesiącu obecnym, czytelnik odgadnie. Z dnia na dzień nabrzmiewa tak potwornie, że niedługo przyjmie postać rubla. Ale czy ona w jego obrębie się zatrzyma? Już dziś nie wiem. Chwilami przypuszczam, że przybierze rozmiary srebrnego medalu, tarczy strzelniczej, koła wagonowego, toru wyścigowego.. Może rozszerzy się w krąg jeszcze większy, może za nią bez targu kupię cały „polski Manchester." Straciłem już wszelką miarę możliwości. Widzę tylko, że moja marka w ciągu lat 15 z mizernej 30-kopiejkówki stała się drogocennym klejnotem, poważnym kapitałem, który jeszcze nie zakończył swego rozrostu. Biedny rubel, który niedawno dumnie obok niej się rozpierał, tak maleje, że przechodzi w krainę mikroorganizmów, które objawiają swe życie i siłę tylko wielością.

Tych drobnych tworów potrzeba dziś posiadać bardzo liczną kolonię, ażeby utrzymać życie na poziomie, do którego rości sobie prawo człowiek cywilizowany. Na spadku wartości rubla traci całe państwo, ale nie w jednakowej mierze. Najbardziej cierpią jego krawędzie zachodnie, zależne od stosunków przemysłowo-handlowych z zagranicą i będące stacyami pośredniczącemi w międzynarodowej wymianie towarów. Rosya jest mocarstwem olbrzymiej przestrzeni, zbiorowiskiem wielu żywiołów, które na tym obszarze posiadają własne, samodzielne ogniska życia ekonomicznego, wystarczające potrzebom miejscowym. Gubernie wewnętrzne, dalej ku Azyi posunięte, mogą prawie obywać się bez wyrobów zagranicznych, a więc nie ponoszą strat z różnicy kursów pieniężnych. Nie sięgając dalej, mieszkaniec gubernii moskiewskiej lub kazańskiej żyje przeważnie produkcyą rodzimą, dla niego więc rubel nie jest tem, czem dla mieszkańca gubernii płockiej lub warszawskiej, który nietylko wiele swych potrzeb zaspokaja wytworami obcymi, ale nadto z pośrednictwa w ich obrotach handlowych ciągnie ważne korzyści. Dlatego to nadzwyczajna obniżka wartości papierów pieniężnych ruskich przygniotła nas głównie swym ciężarem. Przejechał prawdę korespondent *N. fr. Presse*, co Warszawę przedstawił jako rynek ekonomicznie zadżumiony, od którego zagranica powinna się odciąć pasem kwarantannowym, jako obozowisko bankrutów, w którem każdy jest lub wkrótce będzie dłużnikiem niewypłacalnym; ale zataić trudno, że handel zdrętwiał, uległ paraliżowi, stracił mocne oparcie, stoi, chwieje się lub upada. Według *Kuryerów* ruch na komorze celnej ledwie daje znaki życia, kupcy nie odbierają nawet towarów nieznoszących długiego transportu i leżenia w magazynach, inni nie pokrywają zobowiązań, bo według kursu 163 fenigów za rubla pokryć ich nie mogą. Oto jest owoc cykutowy, który do naszego ogrodu spadł z drzewa polityki niemieckiej. Nadęta, zuchwała, brutalna marka pruska weszła w nasze gospodarstwo, rządzi niem samodzielnie, naznacza ceny, wyzyskuje, grabi; ona określa, co mamy płacić zagranicy za angielską książkę, za austryackie wino, za francuzki kort, za włoskie korale, za amerykańskie maszyny, ona jest szafarką naszej kieszeni i dyktatorką naszego rynku ekonomicznego. My przygięliśmy kark i czekamy, a najwyżej pytamy, kiedy panowanie tej prusaczki się skończy. Kiedy? Słońce wstąpiło w znak pikelhauby i ani myśli z niego wyjść.

Owa wszechwładna marka pruska nie zamyka swego niszczącego wpływu granicami naszego kraju, dosięga ona również polaków na obczyznie zamieszkałych. Jest między nimi pewna grupa jej ofiar, których szkody obarczają szczególnym kłopotem serce pism peryodycznych. Mówię o korespondentach i współpracownikach zagranicznych prasy warszawskiej. Ludzie ci żyją przeważnie z pióra, a wynagradzani według skali tutejszej, przy obecnym kursie rubla stracili znaczną część dawnego zarobku. Dwie, trzy, cztery kopiejki od wiersza— to właściwie jedna, półtory, dwie. Materyalny stan prasy naszej, wstrzymany albo cofnięty w swym rozwoju ogólną biedą i gorszą od niej obojętnością ogółu, nie pozwala na podwyżkę płacy. Jeżeli zaś spadek wartości rubla posunie się dalej, albo nasi koledzy zagraniczni zejdą do honoraryów, równających się najmowi za uprzątanie z ulic śniegu, albo pisma mniej zamożne będą musiały wyrzec się zupełnie ich pracy. Byłby to dla obu stron wypadek niezmiernie dotkliwy, któremu zapobiedz trudno. A jednakże giełda berlińska ciągle i szybko go ku nam przysuwa. Już dziś jest poprostu niepodobieństwem zwrócić się do zagranicznego autora polskiego z ofiarowaniem mu warszawskiej stopy wynagrodzenia, które, zamienione na monetę obcą, jest wynagrodzeniem kopisty. Warto w tej smutnej doli przypomnieć sobie gorliwe zabiegi naszego nieboszczyka członka kongresów literackich, pracującego nad opodatkowaniem nas za prawo przekładu książek obcych, warto pomyśleć, co my poczęlibyśmy wobec „konwencyi" teraz przy 163 fenigach za rubla! Członek ten umarł, nieprzekonany, że dogadzając próżności uczestniczenia w bezmyślnych zjazdach, działał na szkodę swego piśmiennictwa; gdyby wszakże dotąd żył, sądzę, że podałby się do dymisyi z urzędu apostoła międzynarodowej własności literackiej.

W Krakowie zmarł nagle młody, nieznany a obiecujący pieśniarz, którego zgon odbił się w naszej redakcyi serdecznym smutkiem. Od lat dwu nadsyłał nam swoje utwory do druku, a gdy nie przyjmowaliśmy ich — do oceny. Początkujący, a dziwnie sympatyczny i widocznie utalentowany poeta nie zrażał się ani odmową, ani surową krytyką, dziękował za uwagi, prosił o rady i pisał dalej. W wierszach jego zwykle bywały pomysły oryginalne i pojedyncze zwrotki piękne, ale całość zawsze kulała tym lub owym szczegółem. Gdy raz w „odpowiedziach redakcyi" przytoczyliśmy jedną taką zwrotkę, zasługującą na wyróżnienie, autor podziękował nam uszczęśliwiony za tę drobną przyjemność i wyraził nadzieję, że on kiedyś całym utworem wejdzie do kolumn *Prawdy*. Nareszcie po dwu blisko latach prób niezmordowanych i postępów widocznych nadesłał on nam garstkę wierszy, z których wybraliśmy jeden i zawiadomiliśmy go w nr. 6 *Prawdy*, że „Chleb" zamieścimy. Wiersz ten brzmi:

> Niegdyś, niegdyś, przed wieki, szatan pełen złości
> ku potomkom Adama, którzy rośli w siły,
> pozbierał ziarnka zboża, które ich żywiły
> i zakopał do ziemi w skrytości.
> Minął rok. Szatan cieszył się w swej nienawiści,
> że w mogile pogrzebał ludzkości plon cały.
> Tymczasem na mogile pełne chlebnych kiści
> srebrne kłosy za wiatrem się chwiały.

Wyobrażam sobie, jak młody pieśniarz poił się tą nakoniec spełnioną nadzieją ujrzenia swojej pracy w druku. I nie doczekał tej chwili. Zanim zdążyliśmy wierszyk powyższy umieścić, odebraliśmy list od kolegi nieboszczyka z doniesieniem, że August Zawisza, który tak gorąco pragnął rozwinąć swe skrzydła do lotu poetycznego w *Prawdzie*, umarł nagle z wady serca. Biedny duchu, czemuż nie zapaliłem ci przed zgonem tego promyka radości! Ale my, jak i ty, nie przypuszczaliśmy, że cię szatan losu zakopie w ziemię jako niedojrzałe ziarno literatury, które nie wyrośnie „kiścią srebrnego kłosa."

Urzędnicy kolei Nadwiślańskiej ustawicznie budzą westchnienia w piersi pism naszych. Jedno z nich opowiada, że w miesiącu bieżącym otrzymali pensye dopiero 24, podczas gdy zarząd i dyrekcye pobrały należność pierwszego. Czytaliśmy niedawno, że tej drodze ma być dodany drugi dyrektor z ministeryum — może on wprowadzi ludzkie uczucia do maszyny „oszczędnościowej." Tymczasem maszyna ta znalazła publicznego adwokata w osobie naczelnego lekarza kolei — dr. Laskowskiego. Po przeczytaniu jego obrony w *Kuryerze codziennym*, doszedłem do przekonania, że jej autor jest jeszcze odważniejszym, niż ci, na których byt swój opiera. Łatwiej bowiem robić źle po cichu, niż je usprawiedliwiać głośno. Żal mi też dr. Laskowskiego szczerze, gdyż całe jego rozumowanie jest siecią pajęczą, której tylko mucha przebić nie może. Tak np. tłomacząc zakaz wydawania lekarstw w naczyniach aptek kolejowych, powiada: „W ciągu lat 11, pomimo nieustannego ze strony lekarza nawoływania, naczynia, w których lekarstwa wydawano, nie były zwracane do aptecek kolejowych, co znacznym (!) a niepotrzebnym kosztem obciążało środki, na istotne potrzeby przeznaczone." Ach, ile ta biedna kolej straciła we flaszeczkach i słoikach dla biedaków! Ale ulżywszy sercu tem wspaniałomyślnem oburzeniem, zapytajmy dr. L.: czy on nie widzi żadnego niebezpieczeństwa dla skuteczności lekarstw, po które zwłaszcza mniej oświeceni oficyaliści przychodzić będą ze swemi „naczyniami," a więc z garnuszkami i miseczkami, mieszczącemi poprzednio rozmaite zawartości i mogącemi wytworzyć szkodliwe połączenia chemiczne? Mnie się zdaje, że lekarz więcej dbać powinien o niewątpliwą czystość naczynia, niż o oszczędności kolei na flaszeczkach i słoikach. Dalej pisze on, że wynagradzanie lekarzów honorowych biletami bezpłatnymi nie jest wyzyskiem, gdyż zna wielu zwolenników, którzy za taką cenę oddają swoją pracę. Czy podobna, ażeby dr. L., człowiek ukształcony, nie słyszał, że gotowość w sprzedaży usług nie jest dowodem słuszności ich kupna? Czy wobec tej logiki wart nagany lichwiarz, któryby wysokość pobranego procentu za pożyczki od niepensyonowanych w terminie urzędników drogi Nadwiślańskiej usprawiedliwiał tem, że przybyli do niego dobrowolnie i licznie? Taką logikę może sobie zarząd kolejowy stosować, ale

lekarz nie powinien w postaci morału głosić, bo ona nie przekona, a zgorszy.

Czy właściwie kogokolwiek można przekonać? Pytanie to zadawałem sobie nieraz i prawie zawsze odpowiadałem przecząco. Pozornie zdaje się, że ktoś, gdy jego odmienne mniemanie podziurawimy argumentami jak rzeszoto, ustąpił, przyjął twoje zdanie. Gdzie tam! Za chwilę przekonasz się, że wytrwał w swojem. A już z nałogiem, z głupotą, lekkomyślnością, nawet bogowie sobie nie poradzą. Ile u nas wypisano atramentu przeciw zgubnym skutkom owczego tłoczenia się ludzi w gmachach publicznych podczas niebezpieczeństwa! Ile razy te skutki udowodniono na wymownych przykładach. I cóż? Ktoś krzyknął w synagodze: „wody!“, inny zawołał: „ogień!“ i tłum kobiet rzucił się do drzwi, gdzie zadusił lub poranił kilkadziesiąt ofiar. Daremnie go powstrzymywano, uspokajano — on zrobił swoje i zrobi w każdym wypadku podobnym, choćby *Kuryery* wypchały przestrogami głowę każdego ze swych czytelników. Każdy będzie przekonany o potrzebie rozwagi, dopóki... nie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Wtedy wróci do swego zdania i zacznie się dusić.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

„Słowa prawdy.“ — Skarga na brak pism postępowych w Kaliszu. — Gdzie ludzie? — Odrodzenie się *Gazety radomskiej* i jej uprzejmość dla zapaśników miejscowych. — Bedłka w barszczu obok grzyba borowego. — Towarzystwo muzyczne w Radomiu. — Szkoła samopomocy. — Wojna niedołęztwu. — Herbata dla nędzarzy w Lublinie. — Groby w śniegu.

Kaliszanin za pośrednictwem niejakiego Ignotusa wypowiedział „słowo prawdy“ mieszkańcom partykularza. Długo żebrało pismo o zasilanie go już nie obrobionymi literacko artykułami, ale przynajmniej choćby surowym materyałem. Na uporczywość w nawoływaniu odpowiadała zawsze uporczywość milczenia prowincyi. Aż nareszcie jeden z czujących ciężar na swem sumieniu przerwał ciszę usprawiedliwieniem się. Każda okolica i każde większe miasto posiada swoje stronnictwa, z których jedno zawsze zwycięża. Niechby więc ktoś z ubocza bezstronnie zechciał poddać krytyce, dajmy na to: pyszałkowstwo pseudo-arystokracyi i dorobkiewiczów, głupotę pseudo-inteligencyi, wyzyskiwanie zajmujących urzędy publiczne, zbytek, zuchwałość żydów itd. Jestem pewny—powiada autor — że nie długo dano by mu się bawić piórem, gdyby nawet powszechnie wiedziano, że je nie poto w żółci maczał, żeby komuś dokuczyć lub zemście dogodzić, lecz że w społeczeństwie przez się kochanem chciałby widzieć „siedzącą na tronie cnotę publiczną“. Biada takiemu śmiałkowi! „Najprzezroczystszy“ (?) pseudonim go nie zasłoni. Partye zapomniawszy o własnej niezgodzie, rzuciłyby się nań z zajadłością postrzelonych dzików i wkrótce zmykać by musiał. O ile jest przesady w wystawianiu męczeństwa takiego bohatera, o tyle prawdy w następujących słowach: „Kornem bijemy czołem przed zbogaconymi szubrawcami, chociaż jesteśmy przekonani o ich moralnej nicości, nie oburzamy się na godną potępienia bezczynność tych, co obowiązani są pracować dla dobra prostaczków, ale pod niebiosa wynosić umiemy ich słowiańską gościnność i serdeczność wylaną... w przezroczyste kielichy, a równocześnie sromamy się znaleźć w jednem towarzystwie z uczciwym rzemieślnikiem lub jego córką, dlatego, że pierwszy nie mógłby być naszym partnerem, a druga zawracać oczkami, albo zagrać z wdziękiem i uczuciem Strausowego na klawikordzie walczyka.“

Po tych gorzkich wyrzutach ozwał się inny mieszkaniec samego Kalisza, który narzeka, iż młodzież miejscowa z kijem w ręku zapamiętale biega w koło bilardu. „Dni, miesiące przechodzą, a myśmy nic poważnego, nic nowego nie czytali.“ Pierwszy za przyczynę wszystkiego złego uważa „brak opinii publicznej.“ drugi — „brak wiedzy.“ Co ma znaczyć ta *opinia publiczna*? Wszak ona istnieje w swoim rodzaju, skoro umie wyklinać pojedynczych moralizatorów. Wiedza zaś nie daje dostatecznej rękojmi moralności jednostek lub idealnych wzorów charakteru.

Kaliszowi nie zbywa na skargach słusznych. Ktoś ubolewa, iż cukiernie tamtejsze i wogóle zakłady publiczne nie posiadają wcale pism postępowych. Miałyżby te instytucye być w obawie odpowiedzialności na sądzie ostatecznym?

Drzemka umysłowa na prowincyi zaczyna coraz bardziej dręczyć cierpiących na bezsenność. Jeden z takich, p. Jan Lorentowicz, występuje, o zgrozo, bez przyłbicy (może dlatego *Korespondent płocki* śmiało mu szpalty swe otworzył) i woła zrozpaczony: „Gdzie ludzie?!... Gdzie ci silni, na których spoczywa cała przyszłość, którzy rdzeń społecznego ogniska stanowić powinni, którym do życia, do duchowego *ukrzepnięcia*(?!) potrzeba było tylko walki?“ Skóra cierpnie, gdy się czyta opis stopniowego drętwienia jednostek inteligentnych na prowincyi. Ci z gorącem sercem i rzutkim umysłem, co może byli cząstką ognia śród uczącej się młodzieży w stolicy, po kilku latach zagrzebania się w małem mieście, wygasają stopniowo. Snadź ten żar był tylko forsownie podniecany przez warunki przyjazne, a nie przez siłę wewnętrzną. Zrazu fanatyczni odgrażali się, żżymali na nieuczciwe, potworne stosunki miejscowe, obiecywali „wnieść silny pierwiastek zdrowej myśli, poglądów i czynu.“ Potem zeszli na działaczy do szeregów... preferansowo-filisterskich. Po zrzuceniu z serca kamienia obowiązku społecznego, starali się wszelkiemi siłami wystudzać i otrzeźwiać wszystkich nowych przybyszów. Mały zastęp „pracowników myśli,“ osiadłych w stolicy, nie ma prawie wcale pomocy ze strony prowincyi, bo ta — powiada autor — truje zawzięcie każdy objaw rozumu i światła.

W tych wszystkich gorzkich żalach może być sporo przesady, ale, bądź co bądź, godne to jest wielkiego zastanowienia. Nie tetryk jeden patrzy na świat przez pryzmat swego zgoryczenia. Radom, Kalisz i Płock prawie jednocześnie wołają niemal w tym samym tonie na trwogę. Więc co to jest? Wszakże organizm, podlegający tylko silnym zboczeniom, szuka narkotyków. Miałożby to być z nami?...

Kiedy *Gazeta radomska* z Nowym rokiem zmieniła właściciela i kierownika, szczerze jej życzyłem powodzenia. Dziś mogę powinszować. Po dwóch miesiącach przekształciła się do niepoznania. Treść obfita i ciekawa, kwestye żywo obchodzące miasto i gubernię znajduję prawie w każdym numerze. Tylko czy trochę nie zawiele polityki? szkoda dla niej nadzwyczajnych dodatków. Ważną nowością jest rubryka dla głosów publicznych. Słusznie jej się należy pierwsze miejsce, gdzie pokrzywdzony może oddać swoją sprawę pod sąd ogółu. Rzemieślnik więc zadraśnięty ujada się za swe prawa w kasie przemysłowców. *Lepsi* starają się wykazać swe dobrodziejstwo dla *gorszych* przez dopuszczenie ich do instytucyi. „Daliśmy ci, babko, grosz!“ — tchnie z każdego wiersza długich odpowiedzi. Ale tamci nie uznają łaski i nie znoszą tonu protektorskiego. Więc jeden z nich woła: Niekoniecznie trzeba być urzędnikiem, doktorem itp. aby cieszyć się dobrą opinią. Małoż jest takich, co biorąc pożyczkę kupują rzeczy zbytkowne, wyprawiają baliki?... Jedyną ujemną stroną tych „głosów“ jest to, że dotąd nie mogłem zrozumieć, kto ma słuszność w sprawie kasy przemysłowo-rzemieślniczej. Może to będzie jaśniejsze dla miejscowych. Wszakże sądzę, że prawo głosu powinno być zostawione rzemieślnikom nietylko w piśmie, lecz i na posiedzeniach instytucyi. O roli ojcowsko-zwierzchniczej wypadałoby choć w tych razach zapomnieć.

Radom od pewnego czasu zaczyna objawiać samodzielność. Byłaby ona chwalebną, gdyby nie miała na celu błyszczenia. Były reporter miejscowego organu zakłada pismo p. t. *Kuryer radomski* (!!), aby otworzyć ujście swej wiedzy o... mostkach zepsutych i chodnikach nierozszerzonych. Materyał prędko się wyczerpie, a co będzie, jeśli nowi współzawodnicy, były polityk i były fejletonista zechcą również wystąpić niezależnie z *Radomianinem politycznym* i *Kroniką radomską*?? Przyszłemu „redaktorowi“ radzę po przyjacielsku zamiast dziennika wziąć się np. do plantacyi chrzanu, którego brak czują mieszkańcy tamtejsi. Ręczę za powodzenie i popularność, zasługa zaś będzie podwójna: ludzie dręczeni dyspepsyą pozyskają środek pobudzający, a organ, który wyrobił już sobie prawo obywatelstwa — niepodzielny materyał brukowy, o ile mu zabraknie ważniejszego.

Sympatyczniejszym znakiem życia w tem mieście jest bliskie narodzenie się Towarzystwa muzycznego. Może miłośnicy tej sztuki dotąd tylko w cuchnącej i dymnej atmosferze knajpianej nabiorą więcej smaku estetycznego i względności dla swych kieszeni, a ochrypłe szansonetki, straciwszy „fundatorów“ szampana, pójdą na ustronia uprawiać swe dawne rzemiosło w mroku nocnym.

Skoro uwiązłem w Radomiu, nie mogę pominąć urzędników drogi Dąbrowskiej, którzy, uprzedziwszy Towarzystwo muzyczne, śpiewają chórem: „Gdzie cienko tam się rwie!“ A cieńszej nitki zarząd dotychczas nie potrafił jeszcze wyprząść dla swych pracowników. Wolno im chorować najdłużej trzy miesiące. W drugim urzędnik pobiera połowę pensyi, w trzecim pozostaje zupełnie bez niej. Jeśli po tym terminie nie wyzdrowieje — traci miejsce. Z tych przepisów wywiązała się kwestya: z jakich funduszów ma być pobierana składka emerytalna za drugi i trzeci miesiąc choroby. Sprawę tę bez namysłu rozstrzygnął komitet, postanawiając, aby w drugim z połowy otrzymanej płacy pobierano składkę za cały miesiąc. Ponieważ zaś w trzecim chory nic nie dostaje, więc w pierwszym po powrocie do zdrowia należy pobierać składkę za dwa miesiące, tj. za ostatni choroby i następny rekonwalescencyi. Stąd wnoszę, że panowie sternicy opływają we wszelkie dostatki i cieszą się żelaznem zdrowiem. Inaczej mogliby zrozumieć, że utrzymanie człowieka w czasie choroby podwójnie, a czasem poczwórnie kosztuje. że zatem po ściągnięciu składki pracownikowi pozostanie ledwie na lekarstwa. Podobno suma ogólna pobierana od chorych na emeryturę wynosi tylko 50 rs. rocznie. Dowód, iż mały jest procent obłożnie cierpiących, czyli mało jest takich, którzyby zdecydowali się połowę płacy lub miejsce utracić. Dla kolei suma taka jest zerem, ale przypuśćmy, oficyalista, pobierający 15 rs. miesięcznie, łamie nogę i musi leżeć kwartał. Po ośmiu tygodniach cierpień potrąca się mu bagatele— 7 rs. 50 kop. i jeszcze pewną kwotę na zabezpieczenie jego własnej starości. Po dwunastu — od tego ma głowę na karku, aby sobie radził. Czyż to nie świetna szkoła samopomocy?!

Przerażające szczegóły statystyczne o niedołężności rodu ludzkiego snadź podziałały skutecznie na Łódź; ojcowie starają się bronić od zagłady wątłe ciałka swych dzieci, posyłając je gorliwie na zbiorowe lekcye gimnastyki trzy razy tygodniowo. Ale powiem coś lepszego. W tym samym celu zbiera się tam komplet dorosłych kobiet i kółko mężczyzn. Cieszy mię to niezmiernie. Może mniej będzie omdleń, spazmów

i łez bezcelowych, mniej kaprysów i piorunów za lekceważenie trudnych do wykonania zachcianek przez biednych opiekunów męzkich. Niemowlęta, ofiary rozstroju fizycznego swych matek, będą w przyszłości błogosławić ich mądrość. Oby zapał tylko nie ostygł w zarodku! Bo wy, piękne panie, umiecie rwać się do czynu... przez godzin kilka. Przyjemny objaw ratowania się od niedołęztwa zaczyna ogarniać Warszawę. W tych dniach przyszedł do mnie młodzieniec pełen dobrych chęci:

— Panie, popieraj nas! Zebrało się grono młodzieży w celu zawiązania stowarzyszenia gimnastycznego. Uprosiliśmy już jednego z adwokatów do napisania ustawy, będziemy się starać o załatwienie wszelkich formalności, ale to jeszcze nie wystarcza.

— Czegoż wam brak?

— Brak nam „powagi,“ i rozgłosu potrzebnego do pomnażania liczby członków.

— A więc zgoda! Poprę was publicznie i nawet z chęcią ofiaruję jednego członka w osobie własnej, ale jakiejże to „powagi“ żądacie?

— Chcemy mieć za przewodniczącego człowieka popularnego, np. Prusa. To może zapewnić rozwój i powodzenie naszemu kółku.

— Dobrze! udam się do Prusa.

Przed dwoma tygodniami pisząc o nawoływaniu p. Lecha do urządzania herbat rannych dla biedakow, powiedziałem: będziemy mieli sposobność dowiedzieć się, w jakim stopniu jest rozwinięta wrażliwość sercowa lublinianek. Dziś z przyjemnością zaznaczam, iż jest ona wielka. Manie, Jadzie, Zosie sypnęły do redakcyi miejscowej składki w pieniądzach lub naturze. Po sto kilkadziesiąt szklanek ciepłego napoju nędzarze codziennie dostają, a nadobne gosposie ująwszy sobie godzin dwie snu, mają zadowolenie moralne z uczynku miłosiernego. Przydałoby się to i w innych miastach dla zaoszczędzenia męczenników zimy. Sroga ona! łzy wyciska i trupy sztywne pozostawia, a tak ciężka, że pod jej brzemieniem strzechy włościańskie się zawalają grzebiąc ludzi bez grabarzy. We wsi Kuleszynie koło Mrozów nakryta grubą warstwą śniegu runęła chałupa w nocy. Gospodarza odkopano z nogami połamanemi, a żonę jego nieżywą. Dzieci tylko ocalały, nad któremi się utworzył dach z belek.

Drogomir.

PRASA RUSKA.

Now. Wremia, dopełniając sprawozdanie swego korespondenta, donoszącego mu o przygotowaniach wojennych w Galicyi, o zalotach austryackich do polaków, o ubiorze ułańskim następcy tronu na balu polskim w Wiedniu, powiada:

„Wyższe sfery austryackie umizgają się do polaków, a obok tego sfery te usiłują widocznie zjednać sobie także sympatyę „rusinów“ galicyjskich. W każdym razie wieści tego rodzaju szerzy się w tym celu, aby połączyć wzburzenie umysłów polskich w pewnym kierunku z pogłoskami o nieuchronnej wojnie między mocarstwami, które podzieliły Polskę.

Być może, iż wieściom tym nie należy dawać wiary, ale, bądź co bądź, wykazują one nam, gdzie zaczyna się ogniskować interes chwili bieżącej, zwłaszcza gdy porównamy je z innemi, rusko-polskiemi, które w ostatnich czasach polscy dziennikarze sypią jak z rękawa. Wszystko to objaśnia zbliżanie się wiosny, która w innych spokojniejszych latach przynosiła rozmaite pogłoski o oczekiwanych jakoby wypadkach wojennych; to też dziwić by się należało, gdyby pod tym względem stanowił wyjątek rok bieżący, na który, Bóg wie, czego już nie przepowiedzieli ludzie.

Co do nas to wolimy zwrócić się do pokojowych pogłosek z tejże sfery stosunków rusko-polskich. Otóż niedawno doniosły gazety o przychodzącem jakoby do skutku rozszerzeniu działalności Banku włościańskiego na Królestwo Polskie z pewnemi zmianami, o których dotąd nic nie wiadomo. Z wiadomości, jakie znajdujemy w prasie o położeniu tutejszych włościan i drobnej szlachty, widać, że Bank włościański będzie miał w Królestwie Polskiem szerokie pole działalności: zubożenie i niedołężna gospodarka szlachty, nadzwyczajne w pewnych okolicach rozdrobnienie działów chłopskich, bezprzykładne przywiązanie włościanina do roli — wszystko to jest takim obfitym materyałem, że z góry należy życzyć Bankowi powodzenia w operacyach, których dokonywać będzie w tutejszym kraju.

Ale podczas gdy ekonomiczne powodzenie takiej instytucyi zależy zawsze od różnorodnych miejscowych warunków gospodarskich, to polityczny wpływ Banku włościańskiego widoczny jest dla każdego. W tym kierunku instytucya ta zjawia się dzisiaj w samą porę. Przypomina ona bowiem, jakie to ułatwienia posiada włościanin z Królestwa polskiego, gdy chodzi o osiągnięcie dobrobytu w porównaniu ze swym ziomkiem z Galicyi, którego „nędza“ opisana została dokładnie w osobnym dziełku. Nie wątpimy, że ludność galicyjska oceni także znaczenie działalności Banku w kraju rusko-polskim.“

Prawitelstwiennyj Wiest. zamieszcza sprawozdanie św. synodu, w którem czytamy:

„Zupełnemu powodzeniu sprawy prawosławia w gub. lubelskiej i siedleckiej stają na przeszkodzie targi i jarmarki, odbywające się w prawosławne dni świąteczne, oraz obchodzenie świąt katolickich według nowego stylu o dwanaście dni wcześniej od prawosławnych, skutkiem czego święta prawosławne, idące po nich, tracą dla pospolitego ludu znaczenie. Szczególnie zaś demoralizacyę wśród ludności krzewią tak zwane śluby krakowskie, pozostawianie dzieci bez chrztu u księdza prawosławnego, lub też chrzczenie ich tajemnie u księży katolickich i grzebanie zmarłych bez obrzędów kościelnych. Co się zaś tyczy stosunku ludności rzymsko-katolickiej do prawosławia, to podług raportów arcybiskupich katolicy w wielu wypadkach odwiedzają cerkwie prawosławne i nieraz zwracają się do duchowieństwa prawosławnego. Lecz wobec tego ostatniego katolickie trzyma się zdala i z uporem prowadzi propagandę katolicyzmu. Szczególnie szkodliwie zachowuje się ono wobec unitów, przyłączonych około r. 1860, wypełniając u nich posługi chrześciańskie. Osoby popierane przez nie zwracają się nieraz do władz o zachowanie ich w katolicyzmie. Najsilniejsza propaganda odbywa się w dyecezyi podolskiej, a szczególnie na zachodniej jej granicy. To, co się odbywało tutaj skrycie, zaczyna odbywać się jawnie. Duchowieństwo katolickie działa różnymi sposobami, najczęściej nielegalnymi, aby tylko nakłaniać prawosławnych do katolicyzmu; rozsiewa tedy nieuzasadnione pogłoski, rozbudza niemożebne do spełnienia nadzieje, zabrania katolikom zawierać małżeństwa z prawosławnymi skutkiem czego liczba opornych nie zmniejsza się.“ Następnie sprawozdanie podaje wiadomość o działalności bractw prawosławnych w dyecezyi chełmsko-warszawskiej. Wydawały one broszury, kalendarze, podręczniki historyczne i modlitewniki, rozprzestrzeniając je wraz z medalikami, krzyżykami i obrazkami bezpłatnie pomiędzy ludnością. Niektórych broszur rozdano do 10,000 egzemplarzy. Z prac naukowych bractwo zamojskie rozpoczęło wydawnictwo „Rusi zabuskiej“ Krzyżanowskiego i „Pomników ruskich starożytności w Zamościu“ Budiłowicza.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. *Petersb. Wiedomosti* donoszą, że projekt zreformowania szkół realnych na specyalne techniczne poddano ponownej rewizyi i że obecnie poro biono już w nim znaczne zmiany, dotyczące programów i praw młodzieży kończącej te zakłady. Nowy projekt przedstawiony będzie Radzie państwa przed feryami letniemi, tak, iżby reforma mogła wejść w życie w przyszłym roku szkolnym. Zamknięcie istniejących szkół realnych ma się dokonać stopniowo, poczynając od dwóch najniższych klas, uczniowie zaś wyższych aż do piątej włącznie będą mieli możność przechodzenia do odpowiedniej klasy szkół nowego typu.

Kolej. *Goniec urzędowy* zamieszcza Najwyżej zatwierdzone postanowienie ministra komunikacyi. Powiedziano tam, iż w składzie rady zarządzającej drogi Nadwiślańskiej oprócz dyrektora z ramienia ministeryum skarbu, ma być również dyrektor ze strony ministeryum komunikacyi, którego obowiązki w razie jego nieobecności będą powierzane innej, również przez ministeryum wybranej osobie. Posiedzenia rady zarządzającej wtedy tylko będą uważane za legalnie odbyte, jeśli na nich obecnym będzie choć jeden z dyrektorów rządowych, albo ich zastępców. Jednocześnie postanowiono, że wszelkie żądanie sum przynależnych kolei od instytucyj kredytowych lub innych władz i osób musi być poświadczone podpisami trzech dyrektorów, a pomiędzy nimi jednego rządowego lub jego zastępcy.

Handel. Ministeryum skarbu postanowiło ostatecznie dołożyć wszelkich starań, aby przyjść z pomocą wytwórcom spirytusu w zawiązaniu stosunków handlowych bezpośrednio z Hiszpanią.

Nowa fabryka. Inżenier Zalinger wystąpił do rządu z podaniem o uzyskanie upoważnienia na założenie w Jekaterynosławiu nowej fabryki mechanicznej pod firmą „Dniepr.“ Kapitał zakładowy wynosi 750,000 rubli. Specyalnością będzie urządzanie młynów i olejarni.

Lekarka. P. Łozińska, radomianka, która ukończyła wydział medyczny w Szwajcaryi, zakłada w Konstantynopolu lecznicę dla kobiet. Mahometankom nie wolno się leczyć u mężczyzn, a więc lekarki mają w Turcyi wielkie powodzenie.

Na oberpolicmajstra warszawskiego, w miejsce zaliczonego do ministeryum spraw wewnętrznych generał-majora Tolstoja, mianowano fliegel-adjutanta pułkownika Klejgelsa.

Instytut rolniczy. Ministeryum dóbr państwa rozstrzyga projekt założenia w gub. chersońskiej szkoły rolniczej na wzór istniejącej w Nowej-Aleksandryi (Puławach).

W Konstantynopolu p. Stanisław Czarnowski, dziennikarz i publicysta, założył na Pera czytelnię i muzeum polskie.

Z Sofii donoszą (25 lutego), iż w Kniażewie, Gabrowej, Filipopolu, Kaloferze i Eski-Zagra wybuchły zaburzenia pomiędzy uczniami gimnazyalnymi z powodu przeciążenia nauką. Rząd zamknął szkołę w Gabrowej i odebrał stypendya. W Filipopolu wydalono 40 przywódców młodzieży.

Straszne trzęsienie ziemi nawiedziło prowincyę chińską Yunnan. Dwa tysiące osób zginęło.

Rozporządzono, aby na scenach teatrów ludowych i takich, które z powodu nizkiej ceny wejścia odwiedzane są przeważnie przez osoby niższej sfery społecznej, grane były te tylko ze sztuk dozwolonych przez cenzurę dramatyczną, które na specyalną prośbę dyrektorów teatrów lub autorów ocenzurowane będą przez główny zarząd do spraw prasowych.

W pow. oszmiańskim na folwarku Oglejby wykryto fabrykę fałszywych 10 i 25-rublówek. Fałszerzy aresztowano.

Konduktorom dróg żelaznych, przyjmującym od osób prywatnych listy bez marek do oddania na rozmaitych stacyach, surowo wzbroniono tej usłużności nadal. W razie niestosowania się do rozporządzenia, winni, oprócz odpowiedzialności służbowej, będą karani pieniężnie. Chodzi tu o przysporzenie dochodów skarbowi.

Wystawę muzyczną otwarto d. 28 lutego w Warszawie.

Podatek. Biuro korespondencyjne w Petersburgu donosi, że ministeryum skarbu postanowiło zaprowadzić podatek od rachunków bieżących, udzielanych osobom prywatnym przez firmy bankierskie, a zabezpieczonych papierami procentowymi. W tym celu polecono izbom kontrolującym, ażeby do 13 marca r. b. nadesłały potrzebne wiadomości o instytucyach kredytowych i kantorach bankierskich.

Agencya reporterska. Ktoś się stara o utworzenie instytucyi reporterskiej w Warszawie w celu dostarczania wiadomości drobnych pismom miejscowym

i prowincyonalnym. A co będą robić obecni dostarczyciele wieści o bójkach, kradzieżach i mostkach zepsutych?

Anatomia porównawcza, dzieło O. Schmidta, ma wyjść niezadługo w języku polskim.

Poczta pneumatyczna ma być urządzona w Petersburgu. Koszt obliczono na 7—8 milionów rs.

Instytut muzyczny. W d. 25 lutego otwarto w Konserwatoryum warszawskiem klasy gry orkiestrowej. Kierownictwo objął p. Stanisław Barcewicz. Dotąd orkiestra liczy 50 członków.

— *Swiet* donosi, iż dyrektorem instytutu muzycznego w Warszawie ma być mianowany p. Mikołaj Sołowjew, krytyk fachowy i znany kompozytor opery „Kordelia.“ Dotychczas prowadził klasę harmonii w Petersburgu.

Za nieczytelne podpisy dyrekcya kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej skazała ponownie 27 urzędników na karę po 50 kop.

Minister oświaty uchylił starania municypalności libawskiej o zachowanie wykładowego języka niemieckiego w gimnazyum i w szkole realnej.

Burze i orkany szaleją na morzu Baltyckiem. Ze wsi rybackiej w okolicach Gdańska wyruszyło 20 łodzi z pełną załogą. Zaledwie kilka ocalało. Zaskoczyła ich gwałtowna śnieżyca, wicher poprzewracał łodzie. 20 ojców rodziny wraz z synami zatonęło.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Modrzyle. Nie.

T. B. stud. Nie możemy Pana objaśnić, gdyż nie posiadamy roczników *Przeg. T.*, gdzie artykuł był drukowany.

M. W. w Kamieńcu. List wysłany.

Stud. med. Innej nie ma.

P. Syl. K. Nie dla nas.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Sprostowanie. W artykule „Echa mesyanistyczne“ w nr. 7, str. 77, szp. 1, w. 9 od dołu zam. świadczy, powinno być *świadczący*; w nr. 8, str. 89, szp. 1, w. 26 od dołu, zam. dotąd, czyt. *odtąd*; szp. 2, w. 3 od dołu, po wyrazie: stworzyciela, zam. *i*, powinien być przecinek; w. 44 od góry, zam. wieszcza — *wiersza*; szp. 3 w. 17, zam. śmiercionu — *śmiercią*; w. 44, zam. Limanu — *Libanu*; str. 90, w. 28, zam. bohaterowie — *bohaterowi*.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na prowincyi zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Февраля 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.